

Narodowe Siły Zbrojne

Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) – polska konspiracyjna organizacja wojskowa obozu narodowego działająca podczas II wojny światowej i w okresie powojennym. Po Armii Krajowej i Batalionach Chłopskich była to największa formacja polityczno-wojskowa podczas okupacji. Narodowe Siły Zbrojne w czasie okupacji liczyły według różnych danych od 80 tys. (w październiku 1943 72,5 tys.) do 100 tys. ludzi. Organizacja walczyła z Niemcami (choć od końca 1943 r. nie podejmowała już działań zaczepnych przeciwko nim) i zwalczała partyzantkę komunistyczną (Gwardię Ludową/Armię Ludową i partyzantkę sowiecką, traktując je jako bandyckie) oraz bandy rabunkowe.

Geneza i powstanie

Narodowe Siły Zbrojne powstały formalnie 20 września 1942, gdyż tego dnia został wydany przez pierwszego komendanta głównego NSZ, płk. Ignacego Oziewicza ps. „Czesław”, Rozkaz nr 1/42, w którym zawiadamiał o objęciu powyższej funkcji. Faktycznie proces formowania NSZ rozpoczął się od lipca 1942 r., kiedy nastąpił rozłam w Narodowej Organizacji Wojskowej i Stronnictwie Narodowym na tle scalenia NOW z Armią Krajową. NSZ zostały utworzone w wyniku połączenia Organizacji Wojskowej Związek Jaszczurczy i części NOW, która nie podporządkowała się umowie scaleniowej z AK. Ponadto w skład NSZ weszło także szereg mniejszych organizacji o charakterze narodowym, jak: Narodowo-Ludowa Organizacja Wojskowa, Polski Obóz Narodowo-Syndykalistyczny, Zakon Odrodzenia Polski, Zbrojne Pogotowie Narodu, Legion Unii Narodów Słowiańskich, Narodowa Konspiracja Niepodległości oraz częściowo: Konfederacja Zbrojna, Organizacja Wojskowa "Wilki", Bojowa Organizacja "Wschód", Polska Organizacja Zbrojna, Polskie Wojska Unijne, Korpus Obrońców Polski, Związek Kobiet Czynu, Młody Nurt. Do NSZ przeszła również część lokalnych struktur AK, zwłaszcza na północnym Mazowszu i w Białostockiem. Z AK pochodziła też część wyższej kadry oficerskiej NSZ, np. kolejni komendanci główni NSZ płk dypl. Tadeusz Kurcysz ps. „Żegota”, „Morski” i mjr/płk NSZ Załoga Partyzantów Wojskowych (Nakoniecznikoff-Klukowski) ps. „Kmicie”.

Polityczne zwierzchnictwo nad NSZ sprawowała Grupa „Szańca” poprzez Tymczasową Narodową Radę Polityczną, w skład której wchodził też rozłamowcy z NOW. Grupa Szańca utworzyła również Służbę Cywilną Narodu, która odgrywała rolę podziemnego załączka cywilnej administracji państwowej. Struktura organizacyjna NSZ uwzględniała przedwojenny podział administracyjny Rzeczypospolitej Polskiej, chociaż obejmowała także tereny należące przed 1939 r. do Niemiec. Całość podległego obszaru dzieliła się na 6 Inspektoratów. Obejmowały one po kilka Okręgów (ogółem 17), te zaś podzielone były na Obwody (z uwagi na rozległość terenu lub problemy z łącznością istniały w niektórych przypadkach Podokręgi). Najmniejszymi komórkami terenowymi były Powiaty i Placówki. Na szczeblu Okręgów i Powiatów istniały komendy na czele z komendantami okręgowymi i powiatowymi. Podobny podział terytorialny posiadała AK. Główne cele programowe NSZ zostały sformułowane w *Deklaracji Narodowych Sił Zbrojnych* z lutego 1943. Należały do nich przede wszystkim: walka o niepodległość Polski i jej odbudowę z granicą wschodnią sprzed 1939 (ustaloną na mocy traktatu ryskiego z 1921), a zachodnią na linii rzek Odry i Nysy Łużyckiej (tzw. koncepcja marszu na zachód), przebudowa systemu sprawowania władzy (wzmocnienie pozycji prezydenta i senatu w celu przeciwdziałania chaosowi parlamentarnemu),

decentralizacja organów administracji w celu rozwinięcia samorządów, wzmocnienie pozycji rodziny w społeczeństwie, a także edukacja oparta na katolickich zasadach etycznych, utworzenie tzw. Katolickiego Państwa Polskiego, armii narodowej do obrony wspólnoty narodowej przed totalizmami niemieckim i sowieckim i katolickiego państwa wyznaniowego oraz ograniczona reforma rolna i oparcie gospodarki państwa na własności prywatnej. NSZ cechował zdecydowanie wrogi stosunek do podziemia komunistycznego. Narodowe Siły Zbrojne występowały zarówno przeciwko hitlerowskim Niemcom, jak też ZSRR, która po klęsce wojsk niemieckich pod Stalingradem została uznana za wroga nr 1. Oficjalnie stwierdzał to rozkaz nr 3 z lutego 1944. Organizacja ta była zarazem przeciwko idei Armii Krajowej zorganizowania powszechnego powstania antyniemieckiego. Jednocześnie NSZ uznawała Polski Rząd na Uchodźstwie z siedzibą w Londynie]. W pracy ideowo-wychowawczej i propagandzie (wydawano ok. 70 własnych czasopism) żołnierzom wpajano ducha walki o niepodległość Polski, eksponowano nacjonalizm i wiarę katolicką, potępiano komunizm, atakowano tzw. partyjniactwo i wpływy dawnych piłsudczyków w AK, przeciwstawiano się dotychczasowej roli Żydów w społeczeństwie i postulowano jej ograniczenie w przyszłej Polsce].

Rozmowy scaleniowe z AK

Utworzenie NSZ zostało wrogo przyjęte przez czynniki oficjalne w kraju, gdyż komplikowało prowadzoną przez AK akcję scaleniową. 11 kwietnia 1943 r. w oficjalnym piśmie Komendy Głównej AK, „Biuletynie Informacyjnym”, ukazał się artykuł pt. „Warcholstwo”, w którym delegat rządu na Kraj, Jan Piekałkiewicz, potępił powstanie NSZ. Pomimo tego wkrótce rozpoczęły się rozmowy pomiędzy obiema organizacjami w sprawie podjęcia współpracy wojskowej. Komendant główny NSZ, płk I. Oziewicz był zwolennikiem takiego współdziałania, ale pod warunkiem zachowania autonomii wewnętrznej przez NSZ. Natomiast komendant główny AK, gen. Stefan Rowecki ps. „Grot”, żądał całkowitego podporządkowania NSZ dowodzonej przez siebie organizacji. Rozmowy zostały przerwane z powodu aresztowania przez Niemców na pocz. czerwca 1943 r. płk. I. Oziewicza, a następnie gen. S. Roweckiego.

Nowym komendantem głównym NSZ w lipcu 1943 r. został mianowany płk dypl. Tadeusz Kurcyusz. Był on związany z Grupą „Szańca”, czyli politykami wywodzącymi się z przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego „ABC”, którzy zajmowali nieprzejednane stanowisko w sprawie scalenia z AK. W ich opinii współpraca wojskowa mogła się odbywać tylko na zasadzie równorzędności obu organizacji.

Od jesieni 1943 r. rozpoczęła się kolejna runda rozmów scaleniowych. Strona NSZ-owska przygotowała pisma do Naczelnego Wodza i prezesa Rady Ministrów w Londynie, aby przejęli sprawy scaleniowe w swoje ręce. Przedstawiciele AK odmówili jednak ich przesłania. Nowy komendant główny AK, gen. Tadeusz Komorowski ps. „Bór”, wobec przedłużania się pertraktacji polecił je przerwać (co nastąpiło 1 października 1943 r.), wyznaczając jednocześnie dzień 15 października jako ostateczny termin podporządkowania się NSZ. Ponieważ żądanie to zostało zdecydowanie odrzucone przez KG NSZ, gen. T. Komorowski wydał 9 listopada 1943 r. rozkaz nr 122 potępiający NSZ. Wobec impasu w rozmowach, KG NSZ postanowiła wysłać do Londynu swoich przedstawicieli (politycznego i wojskowego), aby nawiązać bezpośredni kontakt z naczelnymi władzami państwowymi. W tym celu na jesieni 1943 r. zostali wysłani: Tadeusz Salski, przedstawiciel TNRP i kpt. dypl./mjr NSZ Stanisław Żochowski ps. „Bohdan”, „Brodzic”, „Strzała”, szef sztabu KG NSZ.

W rezultacie naczelny wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski, przesłał 20 stycznia 1944 r. komendantowi głównemu AK wytyczne dotyczące włączenia NSZ do AK, które pozwalały NSZ zachować dużą samodzielność. Zostały one jednak odrzucone przez gen. T. Komorowskiego.

Tymczasem od pocz. stycznia 1944 r. rozmowy scaleniowe z przedstawicielami AK podjął sekretarz generalny TNRP Zbigniew Stypułkowski. Na ich przyspieszenie wpływ miała zapewne komplikująca się sytuacja polityczna Polski wobec wkroczenia na jej ziemi Armii Czerwonej. W rezultacie 7 marca 1944 r. nastąpiło podpisanie umowy scaleniowej. Na jej mocy oddziały NSZ miały pozostać jako zwarte jednostki w składzie oddziałów partyzanckich AK. 31 marca 1944 r. gen. T. Komorowski wydał rozkaz w sprawie przeprowadzenia scalenia, który zawierał m.in. zatwierdzenie płk. dypl. T. Kurcyusza jako komendanta głównego NSZ oraz mianowanie go pełnomocnikiem komendanta głównego AK ds. scalenia NSZ.

Rozłam w NSZ

Przez okres półtora miesiąca umowa scaleniowa była przestrzegana. Członkowie Grupy „Szańca” nie zamierzali jednak doprowadzić do utraty zwierzchnictwa nad NSZ. Wykorzystali w tym celu nagłą śmierć płk. dypl. T. Kurcyusza w nocy z 22 na 23 kwietnia 1944. Doszło wówczas do tzw. „wewnętrznego zamachu stanu”. Członkowie TNRP reprezentujący Grupę „Szańca” wydali fikcyjne, antydatowane rozkazy rzekomo podpisane przez płk. dypl. T. Kurcyusza, mianujące mjr./ppłk. NSZ Stanisława Nakoniecznikowa (Nakoniecznikoff-Klukowskiego), dotychczasowego komendanta Okręgów NSZ Północne Mazowsze i Białystok, najpierw z dniem 21 kwietnia 1944 pierwszym z-cą komendanta głównego NSZ, a następnie z dniem 22 kwietnia p.o. komendanta głównego NSZ. Podjęto także inne działania. 21 kwietnia z funkcji szefa sztabu KG NSZ został usunięty płk dypl. Wacław Świeciński ps. „Tuwar”. Jednocześnie przedstawiciele Grupy „Szańca” ogłosili rozwiązanie TNRP, a na jej miejsce utworzenie Rady Politycznej NSZ, do której weszli tylko oni. Tymczasem komendant główny AK, gen. T. Komorowski, realizując umowę scaleniową, wyznaczył 2 maja 1944 według hierarchii funkcyjnej w KG NSZ płk. dypl. W. Świecińskiego na stanowisko swojego pełnomocnika ds. scalenia NSZ. Po jego natychmiastowej rezygnacji na powyższe stanowisko został mianowany 5 czerwca dotychczasowy zastępca płk. W. Świecińskiego, ppłk Albin Walenty Rak ps. „Lesiński”, który ją przyjął. W rezultacie rozłam w NSZ stał się faktem. Odtąd funkcjonowały dwie odrębne organizacje używające tej samej nazwy NSZ: NSZ-AK, które podporządkowały się AK oraz NSZ-ZJ, które zachowały niezależność organizacyjno-wojskową. Wewnątrz organizacji doszło do porachunków między zwolennikami połączenia z AK i przeciwnikami tej koncepcji. Rozłam spowodował także dezintegrację Służby Cywilnej Narodu. Akcja scaleniowa trwała do końca lata 1944 i zakończyła się przejściem do AK większości żołnierzy dawnej NOW. Grupa „Kmicica” wyznaczyła nagrodę za ujęcie „Lesińskiego”, a utworzony przez nią samowolny sąd skazał go na karę śmierci. 15 czerwca 1944 został on zatrzymany przez bojówkę „Kmicica” i wymuszono na nim podpisanie rezygnacji ze stanowiska komendanta głównego NSZ-AK, odwołanie uprzednio wydanych przez siebie rozkazów i podporządkowanie się „Kmicicowi”. Po wypuszczeniu na wolność, natychmiast odwołał on jednak wymuszone przyrzeczenie. Oba odłamu NSZ rozpoczęły walkę między sobą za pomocą pogroźek, deklaracji i wyroków śmierci, z których część wykonano].

Wśród ofiar znajdowali się m.in.: szef wywiadu w Komendzie Okręgu VIII Częstochowa NSZ-AK, kpt. Stanisław Żak ps. „Stach Częstochowski”, szef Wydziału I Organizacyjnego sztabu KG NSZ-AK ppor. Władysław Pacholczyk, czy szef Wydziału II Wywiadowczego ppor. Wiktor Gostomski ps. „Nałęcz”, „Hubert”, „Witold”. Komendant główny AK, gen. T. Komorowski, poinformował 12 czerwca 1944 naczelnego wodza o zerwaniu scalenia przez NSZ, przez co zostały one napiętnowane przez najwyższe władze wojskowe (gen. K. Sosnkowski) i cywilne (wicepremier Jan Kwapiński).

Udział NSZ w powstaniu warszawskim



Tablica upamiętniająca stacjonowanie dowództwa Legii Akademickiej Szkoły Podchorążych Narodowych Sił Zbrojnych walczących podczas powstania warszawskiego. Warszawa, ul. Długa

Komenda Główna NSZ i ich władze polityczne występowały przeciwko powstaniu w Warszawie, jako koncepcji bez szans na zwycięstwo. Jednakże po jego wybuchu, wszystkie oddziały, jakie udało się sformować, wzięły w nim udział. NSZ niescalone oficjalnie zadeklarowało akces do powstania 7 sierpnia. Podczas walk doszło do porozumienia obu odłamów NSZ i oddziały NSZ-ZJ dowodzone przez por. „Mikołaja” Kozłowskiego podporządkowały się operacyjnie dowództwu Okręgu Warszawa-miasto NSZ-AK na czele z płk. Spirydionem Koiszewskim ps. „Topór”. Dalsze plany współpracy przewidywały nawet powołanie dwóch dywizji NSZ, oddzielnie dla obu odłamów, w skład których mieli wejść wszyscy żołnierze NSZ walczący w powstaniu warszawskim, ale coraz gorsza sytuacja militarna uniemożliwiła ich realizację.

Największą zwartą jednostką NSZ, walczącą w powstaniu, była Brygada Dyspozycyjno-Zmotoryzowana „Koło” (zwana też Grupą „Koło” – dowódca ppłk Zygmunt Reliszko ps. „Bolesław Kołodziejski”), która podporządkowała się dowództwu obrony Starego Miasta. Była ona tylko częściowo uzbrojona, a jej nieuzbrojona większość działała w akcjach sapersko-minerskich, transportowych, czy przy gaszeniu pożarów i odgrzebywaniu zasypanych. Z innych jednostek NSZ walczyły również elementy Pułku im. gen. W. Sikorskiego (przed powstaniem liczył ok. 200 ludzi, rozwiązanego w momencie wybuchu powstania) w składzie zgrupowania AK „Harnaś”, oraz prawdopodobnie Pułk im. gen. J. H. Dąbrowskiego. Najsilniejszym walczącym w powstaniu uzbrojonym i zwartym oddziałem NSZ była sformowana 6 sierpnia Kompania NSZ „Warszawianka” (dowódca – kpt. Piotr Zacharewicz ps. „Zawadzki”), w dniu utworzenia liczyła ok. 80 żołnierzy. Wchodziła w skład zgrupowania AK „Chrobry II”; w momencie zakończenia walk liczyła ok. 170 żołnierzy. Ponadto występowały pojedyncze drużyny i plutony NSZ w ramach większych zgrupowań AK.

Ogółem w powstaniu wzięło udział – według różnych źródeł – od ok. 800 do ok. 2 tys. żołnierzy NSZ obu odłamów lub 3,5 tys.

NSZ po upadku powstania warszawskiego



Plakat propagandowy władz Polski Ludowej wymierzony w Narodowe Siły Zbrojne



Symbol Związku Jaszczurczego

Wybuch powstania warszawskiego 1 sierpnia 1944 poważnie skomplikował sytuację wewnętrzną w ramach NSZ. Wprawdzie KG NSZ zdążyła przenieść się do Częstochowy, ale w Warszawie pozostał p.o. komendanta głównego NSZ, mjr/ppłk NSZ S.

Nakoniecznikow. Wobec utraty z nim łączności, nowym p.o. komendanta głównego NSZ został mianowany gen. bryg. w stanie spoczynku Tadeusz Jastrzębski ps. „Powała”. Po upadku powstania, w połowie października 1944 dotarł do Częstochowy mjr/ppłk NSZ S. Nakoniecznikow, który wy dostał się z miasta wraz z ludnością cywilną, przejmując ponownie pełnią przez siebie funkcję. Prawdopodobnie próbował wówczas przeforsować pomysł podporządkowania NSZ AK, za co został zastrzelony 18 października przez szefa Oddziału II Wywiadowczego KG NSZ, kpt. NSZ Otmara Wawrzkowicza. Po jego śmierci Rada Polityczna NSZ wydała oświadczenie, jakoby nawiązał on kontakt z Polską Armią Ludową, chcąc podporządkować NSZ komunistycznemu Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego.

Jednocześnie przeprowadzono ogólne zmiany organizacyjne. 9 sierpnia 1944 przestała faktycznie istnieć Rada Polityczna NSZ, przekazując swoje uprawnienia na terenach okupowanych przez Niemców Radzie Politycznej NSZ-Zachód. Wydano również rozkazy utworzenia trzech grup operacyjnych (północnej, środkowej i południowej), które miały objąć wszystkie oddziały NSZ, a następnie ewakuować się na Zachód, na tereny zajęte przez wojska amerykańskie i brytyjskie. Ostatecznie zdołano w Kieleckim utworzyć jedynie Brygadę Świętokrzyską NSZ.

Na nowego p.o. komendanta głównego NSZ został wybrany 20 października 1944 mjr rez. Zygmunt Broniewski ps. „Bogucki”, dotychczasowy komendant Okręgu III Lubelskiego. Jednocześnie 11 listopada został on mianowany generałem brygady NSZ. Także w listopadzie 1944 większa część oddziałów NSZ została formalnie podporządkowana NOW i została przekształcona w Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. NZW liczyła kilkadziesiąt oddziałów (w sumie 2-4 tys. żołnierzy) i prowadziła działania zbrojne przeciw NKWD, KBW, WP, a także z innymi formacjami urzędu bezpieczeństwa i oddziałami UPA. We wrześniu 1945 powołano Inspektorat Ziemi Południowo-Zachodnich, składający się z trzech okręgów – Górny Śląsk, Śląsk Opolski i Dolny Śląsk. Wyznaczono komendanta Okręgu Śląsk Opolski – został nim Stanisław Miodoński „Sokół”. W 1947 doszło do rozbicia większości grup NZW, nieliczne oddziały prowadziły działalność do połowy lat 50. w konspiracji.

Według dekretu Prezydenta RP na Wychodźstwie Kazimierza Sabbata, wydanego 1 stycznia 1988, żołnierze NSZ „spełnili swój obowiązek narodowy i żołnierski wobec Rzeczypospolitej Polskiej”.

Walki z innymi organizacjami partyzanckimi

Walki z partyzantką komunistyczną

W lipcu 1943 w obliczu nasilenia się działań komunistycznego podziemia wspieranego przez Związek Radziecki niektóre oddziały NSZ na własną rękę podjęły walki z Gwardią Ludową. Strategia stosowana przez ZSRR polegała na działaniach obliczonych na sianie chaosu i dezorganizowanie życia ludności. Pisma podziemne związane z NSZ ostrzegały przed przygotowywanym przez PPR, na rozkaz Moskwy, przedwczesnym wybuchem powstania antyniemieckiego, które skończyłoby się w ocenie władz Polskiego Państwa Podziemnego^[potrzebne źródło] ogromną rzezią polskiej ludności, co ułatwiłoby podporządkowanie Polski przez komunistów.

Pierwszy przypadek likwidacji oddziału Gwardii Ludowej miał miejsce 22 lipca 1943 na Kielecczyźnie i dotyczył złożonego głównie z Żydów oddziału GL im. Ludwika Waryńskiego znanego pod nazwą „Lwy”, od pseudonimu jego dowódcy Izraela „Lwa” Ajzenmana. Grupa ta była odpowiedzialna za napad na miasteczko Drzewica, rabunek i zamordowanie niewinnych cywili oraz członków NSZ (22 stycznia 1943). W czasie akcji oddziału Akcji Specjalnej NSZ „Sosna” pojmano i z wyroku sądu polowego rozstrzelano w pobliskim lesie siedmiu spośród gwardzistów. Dowódcą oddziału „Sosna” był Hubert Jura ps. „Tom”, który niedługo później nawiązał, w celu walki z ugrupowaniami komunistycznymi, kontakty z szefem radomskiego gestapo Hauptsturmführerem SS Paulem Fuschem. Założył też organizację Toma – grupę wywiadowczą kolaborującą z Niemcami, za co został w lecie 1944, wyrokiem Komendy Głównej NSZ],

skazany na karę śmierci i ścigany przez NSZ oraz AK]. Po sformowaniu Brygady Świętokrzyskiej (nie podlegającej wówczas komendzie głównej NSZ, a jedynie odłamowi NSZ-ZJ), pełnił w niej funkcję oficera do zadań specjalnych. Także według raportów Armii Krajowej NSZ miało donosić na oddziały partyzanckie GL-AL funkcjonariuszom gestapo.

Drugie, najbardziej znane wydarzenie, miało miejsce 9 sierpnia 1943 koło wsi Borów na Lubelszczyźnie. Oddział Narodowych Sił Zbrojnych pod dowództwem Leonarda Zub-Zdanowicza pojmał i rozstrzelał 26-30 żołnierzy Gwardii Ludowej. Przedtem oddziały spotykały się, a do pojmania żołnierzy GL doszło w czasie jednego ze spotkań. Według Piotra Gontarczyka oddział NSZ „rozbił grupę komunistyczną składającą się ze zbitek kilku oddziałów rabunkowych i partyzanckich, ludzi doskonale znanych w terenie. Znalezione przy nich furę ze zrabowanym mieniem. Zanim ich rozstrzelano, ściągnięto ludzi z lokalnych placówek AK, którzy rozpoznali ich jako zwykłych przestępców i morderców znanych w okolicy. Zostali rozstrzelani za bandytyzm”. Według meldunku dowódcy Armii Krajowej Tadeusza „Bora” Komorowskiego: „zostało ustalone, że wymordowania 26 ludzi oddziałów partyzanckiego Armii Ludowej dokonali dowódcy z oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych, wybijając upojonych alkoholem na przyjęciu”, a „Bór” stwierdził, że Armia Krajowa nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

W tym okresie przeprowadzono także kilka innych akcji przeciwko GL, zwłaszcza w Okręgu Kieleckim (oddziały AS „Sosna” przemianowane na „Las 1” i „Las 2” – od grudnia 1943 do lutego 1944). Na skutek sprzeciwów TNRP, prowadzącej wówczas ostateczne rozmowy scaleniowe z AK, działania przeciwko partyzantce komunistycznej ograniczono na pewien czas i zostały wznowione dopiero latem 1944 r. przez niescaloną część NSZ.

12 stycznia 1944 roku Komendant Główny Armii Krajowej wydał rozkaz nr 126, zapowiadający wsparcie Armii Czerwonej w walce z Niemcami *w miarę naszych sił i interesów państwowych*. Odmienne było stanowisko komendanta Narodowych Sił Zbrojnych, który w rozkazie nr 3 z 15 stycznia 1944 stwierdził, że Armia Czerwona musi być traktowana jako wojsko wrogie, a *dążenie do normalizacji stosunków z rządem ZSRR ani ewentualne osiągnięcie porozumienia nie może powstrzymać bezwzględnej walki z komunizmem i rozkładową akcją agentur bolszewickich na ziemiach polskich*].

19 stycznia 1944 we wsi Pardołów (powiat konecki) NSZ-owcy zabili 10 lub 11 domniemanych członków PPR-AL. W rejonie radomskim w 1944 roku oddział NSZ podszywający się pod AK miał atakować oddziały Armii Ludowej. W odpowiedzi na ataki żołnierze podziemia komunistycznego pojмали 10 zakładników działaczy AK, autor meldunku AK informuje o tym, że komuniści zastrzelili jednego z zakładników, jednak po zdemaskowaniu oddziału NSZ uwolnili wszystkich AK-owców.

Silne walki z AL prowadziła Brygada Świętokrzyska NSZ pod wsią Rząbiec w powiecie włoszczowskim stoczona we wrześniu 1944. Brygada Świętokrzyska została zaalarmowana przez członka NSZ z 9-osobowego patrolu, który wcześniej został zaatakowany przez oddział AL. Zatrzymanych przez AL członków patrolu NSZ poddano torturom, lecz jednemu z nich udało się zbiec i powiadomić Brygadę. Zaatakowała ona oddział Armii Ludowej im. Bartosza Głowackiego i oddział partyzantki sowieckiej. Sowietów zrzucono z radzieckich samolotów na spadochronach w nocy z 27 na 28 lipca 1944 w okolicy stacji kolejowej „Tunel”. Grupa radziecka podlegała organom bezpieczeństwa państwowego ZSRR i składała się z agentów NKWD oraz NKGB. Początkowo składała się z 11-osobowej grupy desantowej „Szturm”, która zwiększyła swoją liczebność do kilkudziesięciu ludzi, za pomocą uciekinierów zwerbowanych głównie z niemieckich Legionów Wschodnich.

Była to największa bitwa między partyzantką polską, a komunistyczną podczas całej II wojny światowej – wzięło w niej udział niemal 1 tys. ludzi z obu stron, w tym około 700 żołnierzy NSZ. Komuniści zostali rozbici, a części z nich udało się uciec. Według AL, w potyczce zginęło 16, a 32 pozostałych członków AL i 73 partyzantów radzieckich dostało się do niewoli. Część członków AL zwolniono, a kilkunastu z nich wstąpiło do Brygady Świętokrzyskiej Według wersji NSZ, wśród jeńców radzieckich doszło później do buntu. W czasie jego tłumienia zginęło 3 żołnierzy NSZ, 3 zostało ciężko rannych, a 67 partyzantów radzieckich zostało zabitych. Z kolei według historyków okresu PRL, pięciu oficerów sowieckich rzekomo przekazano do Gestapo, a pozostałych jeńców radzieckich i 4 z AL miano rozstrzelać.

Konflikty z AK, Gwardią Ludową WRN i Batalionami Chłopskimi

Od końca 1943 roku NSZ występowały zarówno przeciwko oddziałom komunistycznym jak i członkom AK. Oddziały NSZ dążyły do rozbicia AK i usiłowały rozpętać w kraju wojnę domową]. Raporty Armii Krajowej z Białegostoku informowały o wyrokach NSZ na żołnierzy AK. Poza Białymstokiem oddziały NSZ miały podszywać się pod AK i anonimowo terroryzować miejscową ludność. W rejonie radomskim oddział NSZ podszywający się pod AK atakował oddziały GL-AL, w odwecie żołnierze podziemia komunistycznego pojmali 10 zakładników z AK, autor meldunku informuje o tym że komuniści zastrzelili jednego z zakładników jednak po zdemaskowaniu oddziału NSZ uwolnili wszystkich AK-owców. Josef Kermisz w „Polish-Jewish Relations During the Second World War” informuje o zabójstwach dokonywanych przez NSZ na żołnierzy AK pochodzenia żydowskiego i działaczy demokratycznych związanych z AK].

Udokumentowano 6 przypadków zabójstw dokonanych przez członków NSZ na członkach GL-WRN. W 1943 roku w Makocicach w powiecie Miechów zamordowano Stanisława Nogę, a innego żołnierza spalono żywcem w Soborzycach. Zabici zostali również: przewodniczący rady WRN w Dąbrowie Antonii Ogiński, Zygmunt Łęgowik „Brzeszczot” i Stefan Mirowski „Mściciel”, a Wilhelm Nyderek został rozstrzelany przez Niemców po donosie ze strony członków NSZ. Stanisław Kowalczyk żołnierz GL WRN w regionach Zagłębia, Tarnowa i Miechowskiego w swoich wspomnieniach pisał m.in. *Należy bowiem przypomnieć, że przeciwko nam występowali nie tylko okupanci, ale także NSZ, które w powiecie miechowskim mordowały naszych ludzi, pepesowców i ukrywających się Żydów.*, informował o napadzie na jego oddział sił SS, wywiad GL WRN miał ustalić że za donosem stać miał NSZ a członkowie żołnierze NSZ mieli pod koniec 1943 roku zaatakować odprawę komendantów Gwardii Ludowej WRN w Szczytnikach, żądając wskazania ukrywanych przez socjalistów Żydów i komunistów. Według raportu jednego z dowódców AK z czerwca 1944 Bataliony Chłopskie odnosiły się wrogo do NSZ, które obarczały winą za ataki na chłopów.

Stosunki z Niemcami

Po klęsce armii niemieckiej pod Stalingradem i Kurskiem (co spowodowało, że dowództwo NSZ za największe zagrożenie dla Polski uważało Sowieców, a nie Niemców, których przegrana była zdaniem dowództwa NSZ tylko kwestią czasu) oraz w obawie przed nadciągającą Armią Czerwoną, w 2 połowie 1943 niektóre oddziały partyzanckie NSZ zaczęły zawierać z niemieckimi władzami policyjnymi lub wojskowymi taktyczne porozumienia o charakterze lokalnym.

Doszło do nich na terenie Okręgu Lubelskiego, a w Okręgu Kielecko-Radomskim skontaktowano się z Hauptsturmführerem SS Paulem Fuchsem, szefem Gestapo w dystrykcie Radom. Pośrednikiem w nich była Organizacja „Toma”, na czele której stał Hubert Jura ps. „Tom”. Wszystko to doprowadziło do wydania przez komendanta głównego NSZ, płk. dypl. Tadeusza Kurcyusza „Rozkazu nr 6”, zabraniającego jakichkolwiek kontaktów z Niemcami. 26 sierpnia 1943 oddział NSZ plut. Tomasza Wójcika *Tarzana* zabił gen. Kurta Rennera, który był najwyższym stopniem niemiecki oficerem zlikwidowanym przez polskie podziemie.

Na początku 1944, wskutek szybkich postępów Armii Czerwonej i wiążącego się z nimi zagrożenia sowieckiego, KG NSZ opracowała wytyczne operacyjne, zgodnie z którymi należało przerzucić wszystkie siły NSZ na tereny zajęte przez aliantów zachodnich, unikając walk zarówno z Sowietami, jak też Niemcami. W tym celu planowano utworzyć 3 grupy operacyjne (GO z ziem południowo-wschodnich, GO z ziem centralnych oraz GO z ziem północno-wschodnich). W rezultacie udało się jedynie na Kielecczyźnie w czerwcu 1944 r. przeprowadzić koncentrację lokalnych oddziałów NSZ, która objęła oddziały „Bema” i „Dymszy” z Okręgu Kieleckiego, „Żbika” i „Łosia” z Okręgu Częstochowskiego oraz „Stepa” z Okręgu Lubelskiego. Rozkazem komendanta Okręgu Kieleckiego oddziały te zostały połączone w 202 pp i 204 pp NSZ. W sierpniu 1944 r. oba pułki utworzyły Brygadę Świętokrzyską NSZ – największy zwarty oddział NSZ istniejący podczas okupacji. Uznanie przez NSZ ZSRR za głównego wroga, jak też zamiary ewakuacji oddziałów na Zachód, musiały w końcu doprowadzić do pewnego zbliżenia z Niemcami. Od lata 1944 – wobec zajmowania ziem polskich przez Armię Czerwoną – ożywiły się kontakty taktyczne i wywiadowcze z Niemcami. Pośredniczyła w nich szpiegowska organizacja Toma. Od początku stycznia 1945, w obliczu zbliżania się Sowietów, Brygada, po zawarciu porozumienia z Niemcami dotyczącego zaprzestania z nimi walki w celu bezpiecznego opuszczenia terenów zagrożonych przez wojska sowieckie, zaczęła wycofywać się na obszar Protektoratu Czech i Moraw, na tereny, do których zbliżały się wojska amerykańskie.

Na jesieni 1944 roku Leopold Okulicki w swoim meldunku do prezydenta na uchodźstwie pisał *Należy się przeciwstawić w propagandzie próbom NSZ współpracy z Niemcami*, a jeden z dowódców AK „Mieczysław” meldował: *Działalność NSZ. D-cy kontaktują się i współpracują z Gestapo., (...) Wyraźna współpraca z Niemcami czy W dniu 22.XI. W czasie przemarszu NSZ przez m. Oleszno, Niemcy ściągnęli posterunki. Rannych NSZ Niemcy proponują odstawić do szpitali niemieckich. Notowane są kontakty w Gestapo].* O współdziałaniu NSZ i niemieckiego gestapo, wermachtu oraz żandarmerii w zabijaniu Żydów pisze Josef Kermisz w „Polish-Jewish Relations During the Second World War” O podobnej współpracy polegającej na zabijaniu Żydów i komunistycznych partyzantów pisze też Halina Lerska. Według raportów AK, Narodowe Siły Zbrojne donosiły funkcjonariuszom gestapo na oddziały partyzanckie GL-AL. Historyk Norman Davies w książce „Europa” określił NSZ jako „na wpół faszystowskie (choć zajadle antyniemieckie)”.

Stosunek do ludności żydowskiej

Wysuwa się zarzuty, że mające swoje polityczne korzenie w ruchach narodowo – nacjonalistycznych (m.in. ONR i RNR „Falanga”) Narodowe Siły Zbrojne miały negatywny stosunek do ludności pochodzenia żydowskiego. Encyklopedia Holokaustu podaje że setki polskich Żydów zostało zamordowanych przez żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. W 1986 Israel Gutman, ówczesny dyrektora Ośrodka Badawczo-Naukowego Yad Vashem, wydał wspólnie z Shmuelem Krakowskim pracę w której podaje, że udokumentowano

120 przypadków zabójstw Żydów przez żołnierzy podziemia, z czego tylko jeden przypadek można przypisać żołnierzom NSZ, a pozostałe AK, jednak z powojennych relacji ocalałych Żydów ze wsi Zakrzówek wynika, że i ten mord nie został popełniony przez żołnierzy NSZ, a przez Niemców.

Krystyna Kersten stwierdziła: „Czy NSZ mordowały Żydów? Z tego, co dziś wiadomo, w czasie wojny, a także i po jej zakończeniu, zabijanie Żydów jako Żydów nie leżało w ich programie... Istnieje niewątpliwie związek między ideologią antysemicką a czynem, ale to nie wystarczy, by uznać NSZ jako organizację programowo mordującą Żydów”. Z Gutmanem nie zgodził się również Jerzy Ślaski, ponieważ według jego badań żaden z powojennych zarzutów o mordowanie Żydów nie został udokumentowany. Nigdzie nie powiedziano, gdzie i kiedy do tych mordów doszło, ani kto padł ich ofiarą. Dodał również, że „kolejnym zarzutem wysuwany wobec NSZ jest to, że mordowały one Żydów. Z pewnością, jak cały obóz narodowy, miały do nich stosunek negatywny. Uważały jednak – identycznie jak czołowi działacze SN – że realizowana przez hitlerowców eksterminacja ludności żydowskiej nakazuje rozwiązanie problemu odłożyć na okres powojenny, a jednocześnie pomagać obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego. Marek Jan Chodakiewicz napisał, że z „dostępnych dokumentów wojskowych tworzonych przez NSZ po 1944 r. wynika, że tak zwany problem żydowski nigdy nie pojawił się w instrukcjach polowych i rozkazach skierowanych do partyzantów. Zawodowi oficerowie, w przeciwieństwie do ideologów, mieli dwóch wrogów: Niemców i Sowieców”] Edward Kemnitz ps. „Szczeciński”, komendant Okręgu Pomorskiego NSZ, został odznaczony Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przez instytut Yad Vashem za ratowanie Żydów z Holocaustu z narażeniem własnego życia. Było wielu Żydów służących w oddziałach NSZ, np. Eljahu (Aleksander) Szandcer („Dzik”) – uciekinier z getta Jerzy Żmigryder-Konopka („Poręba”) i podchorąży Natanson, a Edward Kossoy oblicza, że w samym tylko powstaniu warszawskim w szeregach NSZ walczyło 360 Żydów.

Alina Cała uważa że członkowie NSZ zabili wielu ukrywających się Żydów. Tezę tą zdecydowanie odrzuca Piotr Gontarczyk, stwierdzając, że należałoby najpierw „napisać na ten temat solidny artykuł naukowy. Póki on nie powstanie, będę twierdził, że to informacje nieudokumentowane – dalekie echo propagandy z czasów PRL”, a sam Feliks Pisarewski-Parry, który został odbity przez oddział NSZ pod dowództwem kapitana Piotra Zacharewicza z transportu na Pawiak, a następnie pozostał w NSZ jako oficer wywiadu, swoje przeżycia opisał w książce *Orły I Reszki*: „Prawdziwy szok nastąpił w chwilę później, gdy dowiedziałem się, że organizacja „Pietii” wchodzi w skład NSZ-u! NSZ co prawda wkrótce scalili się z AK, ale to nie zmienia faktu. Byłem chyba jedynym Żydem w szeregach NSZ i do tego przez NSZ odbity! Potem przekonałem się, że wielu członków NSZ nie miało pojęcia o ideologicznych założeniach swojej organizacji. Śmiem zaryzykować twierdzenie, że przynajmniej 50 procent bojowników o Polskę nie znało politycznych ambicji ani przynależności partyjnej swych dowódców. Udział w jednostce organizacyjnej w przeważającej części był kwestią osobistych kontaktów, przypadku lub zbiegu okoliczności. Wielu bezimiennych bohaterów nie zrozumiałoby nigdy labiryntu układów personalnych i struktur organizacyjnych w podziemiu”.

Według raportów podziemnej Gwardii Ludowej WRN NSZ mordowało zbiegłych Żydów na terenie powiatu Miechów i zaatakowało oddział WRN ukrywający zbiegłych Żydów domagających się ich wydania. Tadeusz Komorowski „Bór” w jednym z raportów wspominał o pomocy NSZ Niemcom przy zabójstwach Żydów,

Oddziały NSZ mimo zakazu napadają sowieckie oddziały part. W łukowskim NSZ zabiły 11 żołnierzy sow. D-ca mjr Stepanow interweniował 29 maja i kmdta Obwođu AK. W powiatach włoszczowskim, pińczowskim i stopnickim, niżsi dowódcy NSZ współpracują z Niemcami przy likwidacji Żydów. NSZ kontynuuje wszędie napady na PPR i ludzi z lewicy polskiej. Tadeusz Piotrowski napisał że być może polscy partyzanci którzy zamordowali w marcu 1944 roku 120 Żydów w Worczynie mogli być członkami Narodowych Sił Zbrojnych. O specjalnej grupie NSZ działającej w Józefowie koło Warszawy zajmującej się tropieniem i zabijaniem Żydów pisze Josef Kermisz i Michael Robert Marrus. Historycy tacy jak Josef Kermisz i Halina Lerska piszą o współdziałaniu NSZ i Niemców (gestapo, wermacht i żandarmeria) w zabijaniu ludności żydowskiej]. Alan Levine pisze natomiast o mordach dokonanych przez NSZ na ukrywających się w lasach Żydach.

Leszek Żebrowski twierdzi, że mordowanie Żydów przez NSZ to „kolejny fałszywy mit, który pokutuje od dziesiątków lat i jest uporczywie podtrzymywany. Przed wszystkim NSZ-owcom po wojnie przypisywano liczne zbrodnie, popełnione na ludności żydowskiej przez podziemie komunistyczne. Za te niepopołnione przez nich zbrodnie od 1944 roku skazywano ludzi na kary śmierci i bardzo wysokie kary więzienia. Niektórzy z nich w śledztwach przyznawali się do tych czynów, co okrywa kolejną hańbą stalinowski wymiar (nie)sprawiedliwości. Równocześnie w aktach spraw karnych zachowało się dużo ważnych dowodów pomocy udzielanej Żydom przez to podziemie. Są też NSZ-owcy uhonorowani medalem Yad Vashem. Ale to zagadnienie zawsze było traktowane propagandowo, nie było natomiast obiektywnie badane naukowo. Spotkałem się również z próbami fałszowania dokumentów i zeznań na potrzeby udowodnienia tej haniebnej tezy. Mało kto natomiast wie, że na wszystkich szczeblach pionu wojskowego i cywilnego NSZ można spotkać osoby pochodzenia żydowskiego i nikt ich tam nie prześladował i nie robił wyrzutów. NSZ nie były bowiem organizacją rasistowską, jak twierdzi kłamliwa propaganda, a na płaszczyźnie postaw praktycznych bardzo wielu ludzi z tej organizacji okazywało bezinteresowną pomoc bliźnim, bez względu na ich pochodzenie, przekonania polityczne czy status społeczny”.

Oddziały partyzanckie

Pion wojskowy NSZ dzielił się na: Oddziały Akcji Specjalnej (AS), Oddziały Dyspozycyjne (OD), Oddziały Partyzanckie (OP) oraz Oddziały Pogotowia Akcji Specjalnej (PAS). Pierwsze oddziały AS zaczęły powstawać już w październiku 1942 r., kiedy komendant główny NSZ, płk I. Oziewicz, wydał rozkaz uruchomienia Akcji Specjalnej nr 1. Na jego mocy miano likwidować „bandy wywrotowe i przestępcze”, a walkę z hitlerowskimi ekspedycjami karnymi podejmować tylko „w przypadku rażącej niesłuszności okupanta” oraz zdobywać środki materialne poprzez napady na okupacyjne urzędy skarbowe, poczty itp. W dokumencie miały się też znajdować wytyczne o likwidacji członków „wrogich nam formacji mniejszościowych”, słowa te jednak w oryginalnym rozkazie nie występują i zostały dopisane, przez niektórych historyków okresu PRL, którzy dokonali fałszyfikacji rozkazu płk. I. Oziewicza. W innych rozkazach NSZ występuje z kolei wzmianka o konieczności zwalczania „formacji innych narodowości, wciągniętych pod wpływem niemieckie (...)", dotyczących grup zbrojnych współpracujących z okupantem niemieckim przeciwko państwu polskiemu i jej obywatelom. Wkrótce potem został wydany rozkaz dotyczący Akcji Specjalnej nr 2, która miała udzielać pomocy wypędzonej przez Niemców ludności z Zamojszczyzny (Zamojszczyzna (1942-1943)). Najwięcej oddziałów partyzanckich NSZ powstało w Okręgach: V Kieleckim (por. „Morskiego”, por. „Bema”, por. „Groźnego” i inne) oraz III Lubelskim (por. „Grota”, por. Henryka Figu-

Podhorskiego ps. „Step”, ppor. Leona Cybulskiego ps. „Znicz”, por. Wacława Piotrowskiego ps. „Cichy” i inne).

Wśród przykładowych walk z Niemcami można wymienić:

- pod koniec 1942 – pod Suchedniowem w Kieleckiem – wysadzenie w powietrze niemieckiego pociągu przewożącego rudę pirytową,
- w poł. stycznia 1943 – uderzenie na niemiecki magazyn broni w Kielcach, w wyniku którego zdobyto kilkanaście ckm-ów i ok. 16 tys. sztuk amunicji,
- w marcu 1943 – rozbięcie niemieckiego więzienia oraz posterunku żandarmerii wojskowej w Kraśniku przez pierwszy partyzancki oddział NSZ, zwany „Aleksandrówką”,
- 20 kwietnia 1943 – uderzenie wspólnie z AK na Bank Emisyjny w Częstochowie wykonane przez oddziały „Stepa” i „Zagłoby”,
- w poł. sierpnia 1943 – uderzenie „Aleksandrówki” na bank w Janowie Lubelskim,
- na pocz. września 1943 – bitwa pod Ujściem z niemiecką kompanią żandarmerii wojskowej, która pozwoliła oddziałowi AK w tym czasie rozbić więzienie w Biłgoraju,
- pod koniec 1943 – uderzenie oddziału „Stepa” na kolonię niemiecką w Marianowie, dzięki któremu zdobyto dużo broni i amunicji,
- w kwietniu 1944 – zwycięska walka z Niemcami oddziałów „Stepa” i „Dymyzy” pod Michałowicami w Opatowskim,
- w poł. 1944 – uderzenie oddziału „Stepa” na magazyn wojskowy we Włoszczowie oraz rozbięcie niemieckiej kompanii piechoty,
- 26 lipca 1944 – uderzenie na Niemców 204 pp NSZ pod Lubczą w celu pomocy oddziałowi AK; zdobyto broń i samochody ciężarowe,
- 26 lipca 1944 – zwycięska bitwa z oddziałem SS pod Olesznem oddziału „Żbika” i oddziału AK Mieczysława Tarchalskiego ps. „Marcin”.
- 5 maja 1945 – wyzwolenie kobiecego obozu koncentracyjnego w Holiszowie (Czechy).

Struktura organizacyjna

Komendanci Główni NSZ

- płk Ignacy Oziewicz ps. „Czesław” (od 20 września 1942 do pocz. czerwca 1943)
- płk dypl. w st. sp./gen. bryg. NSZ Tadeusz Kurcysz ps. „Żegota”, „Morski”, „Fischer”, „gen. Mars” (od 1 sierpnia 1943 do 22/23 kwietnia 1944 – w tym samym okresie był oficerem KG AK)
- mjr/płk NSZ Stanisław Nakoniecznikow (Nakoniecznikoff-Klukowski) ps. „Kmicic”, „Zawisza”, „Kiliński” (od 22 kwietnia do 24 lipca 1944)
- gen. bryg. w st. sp./gen. dyw. NSZ Tadeusz Jastrzębski ps. „Powała” (od 24 lipca do poł. października 1944)
- mjr/płk NSZ Stanisław Nakoniecznikow (Nakoniecznikoff-Klukowski) ps. „Kmicic”, „Zawisza”, „Kiliński” (od poł. października do 18 października 1944)
- mjr rez./gen. bryg. NSZ Zygmunt Broniewski ps. „Bogucki”, „St. Bogucki” (od 20 października 1944 do pocz. sierpnia 1945)
- ppor. rez./ppłk NSZ Stanisław Kasznica ps. „Wąsal”, „Przepona”, „Wąsowski”, „Stanisław Wąsacz” (od sierpnia 1945 do 15 lutego 1947)

Komenda Główna NSZ



Czasopisma wydawane przez NSZ

- „Szaniec” – główne pismo NSZ
- „Biuletyn Centralny” – główny organ prasowy NSZ przeznaczony dla kierownictwa organizacji, wychodziło w Warszawie od marca 1943 r. do końca lipca 1944 r.
- „Polska Informacja Prasowa” – tygodnik powielany, liczący przeciętnie ok. 30 stron, formatu A4, wewnętrzny biuletyn tajnej Organizacji Wewnętrznej, wydawany od 1940 r. w Warszawie, w 1944 r. nakład liczył 400 egz., docierał tylko do członków OP i Służby Cywilnej Narodu
- „Propaganda Centralna” (potem P.C.) – dwutygodnik powielany o objętości do 30 stron, formatu A4, pismo wewnętrzne, nakład ok. 80 tys. egzemplarzy, ukazywało się od 1942 r.
- „Naród i Wojsko” – red. Lech Neyman ps. „Domarat”
- „Narodowe Siły Zbrojne” – wydawane od 1943 r.
- „Pochodnia” – wydawana od grudnia 1939 r. w Łodzi, od 1940 r. zmieniła tytuł na „Na zachodnim szanću”, nakład doszedł do 3 tys. egz.
- „Lux Mundi” – jedyne w konspiracji pismo przeznaczone dla kapelanów partyzanckich, red. ks. kpt. NSZ Michał Poradowski ps. „Benedykt”
- „Chrobry Szlak” – wychodziło w Kielcach
- „Szczerbiec” – wychodziło m.in. w Opatowie
- „Aktualne wiadomości z Polski i ze świata” – wychodziło w Wołominie

WIKIPEDIA

http://pl.wikipedia.org/wiki/Narodowe_Si%C5%82y_Zbrojne

WSPOMNIENIA

Mieczysław Grygorcewicz "Bohdan"

Porucznik Mieczysław Grygorcewicz przed wybuchem wojny pracował w Centralnym Biurze Operacyjnym. We wrześniu 1939 r. został przydzielony do Szefostwa Łączności w Sztapie Głównym w Warszawie, którego zadaniem było utrzymanie drogą radiową kontaktu z walczącymi armiami polskimi. Pod koniec 1940 r. został zaprzysiężony jako członek Narodowej Organizacji Wojskowej działającej przy Stronnictwie Narodowym. W październiku został mianowany komendantem Okręgu "Cyryl" (Białostockiego) i awansowany do stopnia kapitana. Po wkroczeniu wojsk radzieckich w 1944 r., mimo posługiwania się fałszywym nazwiskiem (Mieczysław Ostrowski), został aresztowany i w październiku 1946 r. skazany najpierw na 10 lat więzienia, zaś w drugiej rozprawie na karę śmierci za "przynależność do organizacji zbrojnych i dążenie do obalenia ustroju Polski Ludowej". Na mocy amnestii karę śmierci zamieniono na 15 lat pobytu w zakładzie karnym (najpierw we Wronkach, później w Strzelcach Opolskich i w Sztumie). Ostatnie więzienie opuścił w kwietniu 1956 r.

W Okręgu "Cyryl"

Podczas rozmowy z Komendantem Głównym NOW dowiedziałem się, że w Okręgu "Cyryl" Białystok są poważne zaniedbania organizacyjne i Komendant Okręgu "Gracjan" ma być odwołany ze swojego stanowiska.

W tym celu zostali wysłani do Okręgu "Stefan" Banasik i Leon Mirecki, którzy potwierdzili chaotyczną pracę organizacyjną, brak łączności w Okręgu i nienależyte zorganizowanie członków w oddziały wojskowe. Komendant "Michał" (płk. Oziewicz) oświadczył mi, że pragnie mnie mianować Komendantem Okręgu "Cyryl", z tym, że Podokręg "Nikodem" (Nowogródzki) również będzie mi podlegał. Propozycję Komendanta Głównego NOW przyjąłem. Z dniem 1 października 1943 r. otrzymałem na piśmie nominację na Komendanta Okręgu oraz awans na kapitana, który został zatwierdzony również przez AK. Od "Stefana" otrzymałem adres na punkt przerzutowy we wsi Jelonki, w pobliżu Ostrołęki, nad samą granicą. Nocą uzbrojona grupa licząca 6 osób dotarła do wsi Sulencin - leżącej już po drugiej stronie granicy.

Miałem do swojej dyspozycji furmankę jednokonną, przeto niezwłocznie ruszyłem z moimi łącznikami do wsi Krajewo przez Czerwony Bór. Przejeżdżając przez piękne lasy i gęste poszycia przyrzekłem sobie, że w późniejszym czasie urządzę tutaj swoją kryjówkę i zorganizuję szkołę podoficerską i szkołę podchorążych, ponieważ to miejsce wyjątkowo odpowiadało warunkom szkolenia wojskowego. Postanowiłem, że skoro tylko dobrnę do Zambrowa, omówię te palące zagadnienia z Komendantem powiatu.

Omijaliśmy główny trakt z Ostrowi do Białegostoku, jechaliśmy tylko ścieżkami leśnymi a obawy spotkania z żandarmerią, ponieważ nie miałem jeszcze zalegalizowanych dokumentów. Na razie dobrnęliśmy do wsi Krajewo, na punkt Zygmunta Krajewskiego, bardzo miłego i odważnego człowieka, który pracował dla podziemia z największym poświęceniem, ryzykując często własnym życiem. Brat Zygmunta był sołtysem i do niego często przyjeżdżali żandarmi z Zambrowa, więc ryzyko było poważne, ale była to jednak dobra skrytka. Poprosiłem Zygmunta, aby ściągnął do mnie kilku członków z Komendy powiatowej na rozmowy. Na odprawę przybyli: "Wiesław" Przeździecki, Komendant "Ikar", szef organizacyjny i "Wicek" Bonarowski. Odprawa odbyła się w bardzo przyjemnej atmosferze, zostałem poinformowany o pracy konspiracyjnej i organizacyjnej oraz o przychylnym nastawieniu tutejszej Narodowej Organizacji Wojskowej do Armii Krajowej, jak również o scalaniu naszych oddziałów z AK. Następnie poprosiłem o zorganizowanie dwóch oddziałów z młodych ludzi z wykształceniem powszechnym i średnim, z których zostaną, po przeszkoleniu, podoficerowie i podchorążowie. Przyrzekłem, że materiały szkoleniowe natychmiast ściągnę z Komendy Głównej z Warszawy, a w czasie inspekcji powiatów wynajdę dobrych i zdolnych oficerów do szkolenia.

Moja propozycja została przyjęta z dużym entuzjazmem. W tym gronie mówiono, że nareszcie roboty wojskowe ruszą z miejsca i NOW będzie miała wyszkolonych i przygotowanych żołnierzy do walki z okupantem. Zygmunt Krajewski w krótkim czasie załatwił mi spotkanie z "Jackiem" Roszkowskim, który był Komendantem Obwodu AK.

Na spotkaniu przedstawiłem swój program działania na tutejszym terenie oraz uzgodniłem z nim powołanie do życia dwóch szkół wojskowych, z których wyjdą żołnierze dobrze przeszkoleni. Poza tym prosiłem o kontakt z Komendantem Okręgu AK "Mścislawem" Liniarskim, do którego mam ważne sprawy z Komendy Głównej AK oraz chcę omówić sprawę scalenia naszych oddziałów w AK Wiadomość o terminie i miejscu spotkania należy przekazać napunkt "Wiesława" Przeździeckiego.

Z punktu, na którym przebywałem u Zygmunta Krajewskiego, zostałem przerzucony do wsi Grzymały, do rodziny "Wiesława" Przeździeckiego, gdzie w dalszym ciągu załatwiałem sprawy organizacyjne. Tu przeprowadziłem rozmowę z "Krystyną"- siostrą "Wiesława", na temat Służby Pomocniczej Kobiet. Na moją propozycję "Krystyna" zgodziła się pełnić funkcję Komendantki SPK, dobrała sobie do tej pracy zespół młodych niewiast ze środowisk inteligenckich. Z miejsca doręczyłem instrukcję szkoleniową SPK. Ustaliłem terminy szkoleniowe z szefem organizacyjnym "Ikarem" -Klimaszewskim oraz to, że kobiety będą posługiwały się bronią wypożyczoną z oddziału wojskowego. Najważniejszą sprawą SPK było przeszkolenie członkiń z zakresu spraw sanitarnych i dziedziny łączności.

Na odprawie SPK omówiłem zagadnienie pomocy koleżeńskiej dla wywiezionych na roboty do Niemiec. Niewiasty chętnie podjęły inicjatywę pracy charytatywnej. Podałem przeto kilkadziesiąt adresów naszych działaczek i żołnierzy wywiezionych z powiatu iwienieckiego na roboty. Później, kiedy wróciłem do Warszawy, otrzymałem wiele podziękowań z Niemiec za pomoc materialną udzieloną naszym ludziom. Wysyłano przeważnie żywność i częściowo odzież.

Z Grzymał udałem się do majątku Laskowiec do państwa Bonarowskich, u których często przebywałem.

Miałem tam dobrą opiekę i dobry punkt oparcia. Jeśli chodzi o państwa Przeździeckich i Bonarowskich- to były bardzo zacne, patriotyczne rodziny.

Przez kilka lat cała nasza organizacja opierała się o te dwa domy szlacheckie, które nie szczędziły wysiłków w pracy, ani dużych wydatków materialnych, nie obawiając się, w razie wpadki, represji ze strony nieprzyjaciela. Wszyscy członkowie tych dwóch rodzin należeli do naszej organizacji i tą pracą byli całkowicie pochłonięci z wielkim oddaniem. Do tego stopnia ryzykowali bracia Bonarowscy "Wicek" i "Stanisław", że zbudowali, na moją prośbę, schron w parku, dobrze zamaskowany, gdzie trzymali radioodbiornik i maszyny do pisania, którymi posługiwaliśmy się do pracy przy wydawaniu gazetki konspiracyjnej.

W przypadku obławy, na tym terenie, urządzonej przez Niemców, sam nieraz przebywałem w tym schronie. Dzięki "Wickowi" dojechałem szczęśliwie do wsi Rutki i na koloni Plewki założyłem stały punkt łącznikowy. Na tym punkcie spotkałem grupę nie dużą, ale dobrze uzbrojoną, pod dowództwem "Sterna" i "Kmicica", bardzo odważnych poruczników. Teraz już miałem pewną ochronę, z której korzystałem poruszając się po powiecie wysokomazowieckim. W niedługim czasie wysłałem "Sterna" do powiatu bielskiego z poleceniem, aby tam zorganizował grupę dywersyjną. Mianowałem go komendantem oddziału. Natomiast "Kmicica" Babińskiego ze wsi Rzędziany, zostawiłem przy sobie, mianując go dowódcą oddziału przy Komendancie Okręgu "Cyryl".

Od tej chwili "Kmicic" ze swoim oddziałem stale mi towarzyszył we wszystkich moich wyprawach do innych powiatów. Oddziały zaopatrywano w broń zdobytą na Niemcach, czy to na Wehrmachcie, żandarmerii, czy też z transportów niemieckich, które szły na wschód. "Kmicic" był mi oddany bez reszty, zdyscyplinowany, o niespotykanych walorach wojskowych, bardzo energiczny, patrzący w oczy śmierci z pogardą.

Dzięki niemu dostałem kontakt do "Bema"- Mościckiego we wsi Kruszewo koło Kobyлина i do wsi Cieszyny, do państwa Zdrodowskich- również do rodziny szlacheckiej (a na tym terenie było to bardzo ważne). Rodziny takie były bardzo oddane naszej organizacji podziemnej, ponosiły wielkie ryzyko i służyły także pomocą finansową. To miejsce "Bema" było ostatnim punktem łącznikowym do Białegostoku, skąd wysyłano pocztę i prasę w obu kierunkach. Do Białegostoku towarzyszył mi Komendant powiatu wysokomazowieckiego porucznik "Lot", z którym po drodze omówiłem wszystkie sprawy dotyczące pracy konspiracyjnej. Według oświadczenia "Lota" NOW liczyła w powiecie około 800 ludzi. Byli oni częściowo przygotowani do akcji zbrojnej, lecz nie byli zorganizowani w oddziały wojskowe. Wydałem polecenie, aby natychmiast przystąpić do zorganizowania oddziałów, rozpoczynając od drużyn a kończąc na batalionie.

W Białymstoku trzeba było wszystkie sprawy załatwiać od początku. Komenda Okręgu niekompletna, tzn. nie wszystkie wydziały obsadzone, trzeba było natychmiast ściągnąć z Warszawy oficerów i uzupełnić kadre, W krótkim czasie stworzyłem sztab Komendy Okręgu NOW/AK w następującym składzie:

- Komendant Okręgu "Cyryl" - kpt. Grygorcewicz pseud. "Bohdan"
- Zastępca i Szef Wywiadu - kpt. "Bronisław"
- Szef I Wydziału Organizacyjnego - ppor. "Henryk" - Pietraszkiewicz
- Szef II Wydziału - kpt. "Bronisław"
- Szef III Wydziału Operacyjnego - ppłk Zwański
-
- Szef IV Wydziału Zaopatrzenia - ppor. "Zachar"
- Szef V Wydziału Łączności - kpt. "Lis" - Lewicki
- Szef VI Wydziału Propagandy - ppor. "Marcin" - Szmidt

Po zorganizowaniu Komendy Okręgu trzeba było pomyśleć o legalnych dokumentach dla mnie. "Bronisław", mając dobrze zorganizowany kontrwywiad, w szybkim tempie doręczył mi legitymację, wystawioną przez władze niemieckie na nazwisko Roszkowskiego Antoniego ze wsi Pyrki, gmina Łapy.

Teraz mogłem swobodnie poruszać się po terenie. Uprzedzono chłopca ze wsi Pyrki, że w razie mego aresztowania natychmiast musi opuścić swój dom i schronić się, bo żandarmeria może sprawdzić dane. (...)

Postanowiłem z dotychczasowych terenów przerzucić się do okolic Zambrowa, aby tam dokończyć swoją rozpoczętą pracę w szkoleniu dwóch szkół wojskowych. Podróż podjąłem pociągiem osobowym. Miałem "Kmicica" z grupą dobrze uzbrojoną, wsiedliśmy do pociągu w Wandach, w nocy i jedziemy w kierunku Małkini. Zajęliśmy jeden przedział i nikogo do niego nie wpuszczamy. Wkrótce zjawił się bahnschutz (straż kolei), kazał się wylegitymować. Zamiast dokumentów błysnęły spod płaszczy pistolety. Bahnschutz zbladł i nie mógł wymówić ani słowa. Moi chłopcy rozbroili go i kazali usiąść w kąci przy oknie, a "Kmicic" zapowiedział, że najmniejszy ruch lub wydanie krzyku, a wpakuje mu kulę w łeb. Bahnschutz siedział jak mysz pod miotłą, tylko oczy błyszczały mu z przerażenia. Dojeżdżamy do Czyżewa, celu naszej podróży. Zapadł już zmrok. "Kmicic" wyprowadził Niemca na korytarz, otworzył drzwi i wypchnął go z pociągu na nasyp kolejowy.

Pociągnął za hamulec. Pociąg zwolnił bieg, a my wyskoczyliśmy bezpiecznie i zniknęliśmy w ciemnościach nocy. Na odprawie w Grzymałach "Wiesław" zreferował mi sytuację w swoim powiecie- zorganizowano już szkoły podchorążych i podoficerów, przeprowadzono ćwiczenia teoretyczne, które trwały 3 miesiące, a w najbliższych dniach podchorążowie odbędą praktyczne ćwiczenia wojskowe w lasach.

W Czerwonym Borze

Poprosiłem, aby "Wiesław" wybrał dobre, bezpieczne miejsce w Czerwonym Borze. Kazałem przygotować dwa duże schrony dla żołnierzy, w których ja również będę często przebywał. Wskazałem, że zaopatrzenie w żywność oddziału, należy zdobywać w majątkach pod zarządem treuhenderów niemieckich, których na tych terenach nie brakuje. Majątki były dobrze zaopatrzone w bydło, świnie i konie. Poza tym w Porytem, koło Zambrowa, była czynna gorzelnia, w której produkowano spirytus na cele wojenne. Ustaliliśmy, że w niedługim czasie należy zorganizować kilka wypadów do gorzelni lub w drodze przez Czerwony Bór zatrzymywać transporty ze spirytusem w beczkach i zdobyć kilka tysięcy litrów, a za uzyskane pieniądze ze sprzedaży spirytusu, trzeba kupić żołnierzom mundury, bieliznę, obuwie.

Moja ochrona doprowadziła mnie do samej granicy, pożegnałem dzielnych chłopców, wyznaczyłem termin mego powrotu na maj- u Tyszków. Na moje wezwanie przybył "Skiba" ze swoją grupą. Granicę przeszliśmy w nocy. Wsiadłem do pociągu w Jelonkach i przybyłem do Warszawy, aby załatwić konieczne i pałące sprawy w okręgu, w porozumieniu z władzą wyższą. Nie przebywałem długo w Warszawie.

Zaopatrzyłem się tylko w różne potrzebne materiały wojskowe i w pierwszych dniach maja, w towarzystwie dwóch osób ochrony, ruszyłem do Okręgu "Cyryl".

W jelonkach oczekiwała mnie grupa "Kmicica" i grupa przerzutowa, co razem stanowiło dość pokaźny i dobrze uzbrojony oddział. Mogliśmy bezpiecznie przejść granicę, bez żadnej obawy. Nawet żandarmi nie mieliby odwagi nas zaatakować. W pewnym momencie znaleźliśmy się na grobli prowadzącej z Szumowa do Sulęcina. Oddział posuwał się w ubezpieczeniu.

Nagle usłyszeliśmy: "Stój! Kto idzie?" Upadliśmy wszyscy na ziemię. "Kmicic" odpowiedział: "Oddział polski. A tam kto?" - "Też oddział polski Narodowych Sił Zbrojnych" Po kilku ludzi wysunęło się do przodu i po stwierdzeniu, że rzeczywiście są to Polacy, wszyscy zbliżyliśmy się do siebie. Grupą NSZ dowodził sam Komendant Okręgu "Kiliński". Kiedy dowiedział się, że w naszej grupie ja jestem też Komendantem Okręgu- wywiązała się między nami bardzo przyjazna rozmowa. Ustaliliśmy termin naszego spotkania na tym terenie. Miało ono nastąpić po powrocie "Kilińskiego" z Warszawy, do której właśnie zdążył. Pożegnaliśmy się po przyjacielsku.

Niestety, nie zobaczyłem go już więcej, ponieważ w Warszawie zrobił przewrót w NSZ, ogłosił się Komendantem Głównym przyjmując pseudonim "Kmicic".

Po powstaniu zginął z ręki zdrajcy.

Wśród nocy gwiazdzistej i ciepłej maszerowaliśmy dość szybko, mimo zmęczenia, aby jak najszybciej dobrnąć do lasów przylegających do Czerwonego Boru. Po krótkim odpoczynku i po posileniu się ruszyliśmy do obozu NOW, w centrum Czerwonego Boru. Obóz został założony przez "Wiesława". Wkrótce zatrzymał nas patrol. Po wymienieniu hasła i odzewu znaleźliśmy się w obozie. Wprowadzono nas do schronu, dobrze urządzonego. Dowódcą oddziału liczącego 80 ludzi był "Zagłoba", a jego zastępcą "Zyndram". Byliśmy przez nich bardzo gościnnie przyjęci. Położyłem się na pryczy i od razu usnąłem snem kamiennym. Po południu wspólnie z żołnierzami zjadłem obfity obiad, smakowało mi to wspólne spożywanie, może dlatego, że jadłem z menażki, w lesie i razem z tymi, których uważałem za bliskich kolegów i współpracowników.

Przeprowadziłem inspekcję oddziału, którego członkowie szkolili się w szkole podchorążych i szkole podoficerskiej. Chłopcy byli młodzi, zdrowi i pełni zapału do walki z wrogiem. Uzbrojenie niezłe, wprawdzie mieszane, szczególnie karabiny i pistolety- sowieckie i niemieckie. Schrony były dobrze zbudowane i wygodne. W magazynie pełno żywności: mięsa, mąki i cukru, zdobytych na Niemcach w majątkach przez nich zarządzających.

Miejsce postoju znajdowało się na wzgórzu, nazwanym przeze mnie "Romana Dmowskiego".

Widok był prawie na cały Czerwony Bór, pokryty lasami i gęstym poszyciem. Miejsce idealne dla partyzantki i dobry wypad we wszystkich kierunkach.

Poza tym okolica wyjątkowo piękna - wspaniałe drzewa sosnowe, gęste poszycie z paproci, mchów i krzewów- to wszystko urzekało. Akurat był maj i ta świeża zieleń wiosenna, wspaniały zapach kwitnącego, złocistego żarnowca - wprawiały mnie w zachwyt. Po kilku dniach "Zagłoba" zarządził wypad oddziału do sąsiedniego majątku treuhendera. Sterroryzowano go, zabrano dwie dubeltówki, odbiornik radiowy, bieliznę, ubrania oraz z zabudowań jałówkę i dwie świnię. Zostawiono pokwitowanie. Następnego dnia żołnierze - fachowcy robili kielbasy, marynowali, wędzili boczek, jednym słowem robota szła na całego, a żołnierze dobrze sobie pojedli.

Dyrektor gorzelnicy w Porytem- p. Klimaszewski- dał znać przez swego syna "Ikara", że za kilka dni ma odejść transport ze spirytusem do stacji kolejowej w Szumowie. Poleciałem "Zagłobie", aby przygotował specjalny oddział z kilkoma furmankami, uderzył na Niemców na skraju Czerwonego Boru i zdobył ten pożyteczny produkt, w tych czasach bardzo pożądany. W drodze wymiany wszystkiego można było dokonać za wódkę. Konwojenci niemieccy byli całkowicie zaskoczeni nagłym uderzeniem naszego oddziału, toteż po chwili zostali rozbrojeni bez żadnego oporu. Kilka tysięcy litrów spirytusu przeładowano na nasze furmanki, sprawiono Niemcom tęgie lanie, a oddział ze zdobyczą wrócił do bazy.

Wieczorem przygotowano ognisko. Siedziałem wśród zebranych i opowiadałem o najnowszych wydarzeniach i wieściach ze świata oraz o sytuacji na froncie. Przy ognisku było przyjemnie i wesoło. Pozwoliłem wydać żołnierzom po dwa kieliszki wódki. Następnie podyktowałem kilka piosenek partyzanckich, których sam się nauczyłem będąc w Warszawie. Najbardziej podobała się piosenka o sercu żołnierza: "... Żołnierz drogą maszerował, nad serduszkim się uzałił, więc je do plecaka schował i pomaszerował dalej...".

Melodia łatwa i ładna, więc żołnierze szybko ją opanowali i śpiewali do późnej nocy, a wartownicy z dala od ogniska słuchali z przyjemnością i żalowali, że nie biorą udziału w tych przyjemnych chwilach razem z kolegami, wśród których przebywał "Stary", jak mnie wtedy nazywano (miałem wówczas 36 lat).

Wkrótce przybył łącznik z Warszawy, z prasą. Jednocześnie doręczył mi pismo Komendanta Głównego zawiadamiające o odznaczeniu mnie Krzyżem Walecznych, który zostanie mi wręczony osobiście w Warszawie.

Łącznik udał się w dalszą drogę do Białegostoku, do wojewody Przybyszewskiego, ze specjalną pocztą z Delegatury Rządu. Ja, korzystając ciągle z dobrej ochrony "Kmicica" przerzuciłem się za Narew- do Tykocina. Tam otrzymałem dobrą melinę w starym zamku Radziwiłłów, u p. Tyborowskiego. Tu miałem załatwić ważne sprawy w rejonie Knyszyna. Ściągnąłem stamtąd por. "Mariana"- Kamińskiego i powierzyłem mu funkcję w I wydziale w Okręgu oraz poleciłem załatwienie spraw scaleniowych na terenie Knyszyna. W rozmowie z Tyborowskim przypomniałem sobie sprawę pacyfikacji tego rejonu i poruszyłem sprawę organizacji Konfederacja Narodu, którą stworzył i dowodził "Bolcio" Piasecki. Miał on zorganizowanych 20 grup, liczących po 30 dobrze uzbrojonych młodych ludzi w każdej grupie. Terenem zgrupowania tych oddziałów latem 1943 roku był Czerwony Bór.

Stąd Bolesław Piasecki ruszył tyralierą w kierunku Narwi i lasów knyszyńskich. Po drodze zajmował wsie i miasteczka, rozbijał posterunki żandarmerii, głosząc ludziom niedaleką klęskę Niemców i niepodległość Polski. Następnie zwoływał po wsiach wiece, wygłaszał przemówienia stojąc na studni lub beczce. Przemówienia do ludności miały zabarwienie czysto nacjonalistyczne. Piasecki twierdził, że tylko on jest powołany na wodza narodu. Obiecywał tym, którzy za nim pójdą otrzymanie specjalnych stanowisk w przyszłej Polsce Narodowej. Rozdzielał funkcje administracyjne w województwie i powiatach, a zaufanym ludziom przydzielał młyny, akcyzę itp. Ta akcja była tragedią dla miejscowej ludności, bo wkrótce Niemcy zgrupowali większe oddziały i rozbili Konfederację Narodu. Poza tym, w odwet za wystąpienia Piaseckiego, tereny zostały spacyfikowane przez żandarmerię.

Wsie spalono, niewinnych ludzi wymordowano lub wsadzano do więzienia. Wieś Zajki została dosłownie zrównana z ziemią, nie pozostał kamień na kamieniu. O tych zbrodniczych czynach "Bolcia" złożyłem obszerny meldunek w Warszawie. Zostałem ściągnięty z okręgu i miałem spotkanie z "Jackiem" Reifem- zastępcą Piaseckiego- w obecności członka Delegatury Rządu p. Konrada Krupskiego. Zażądałem kategorycznie wycofania oddziałów Konfederacji Narodu z Okręgu Białostockiego. Jednak sprawa sama się rozwiązała, bowiem oddziały Piaseckiego zostały rozbite przez Niemców.

Z Tykocina miałem zamiar udać się do Białegostoku i omówić sprawy administracyjne z wojewodą (on również miał wiele spraw do mnie), jednak odłożyłem podróż na później. Pilniejsze sprawy były w Czerwonym Borze- czekały na mnie egzaminy w szkołach wojskowych. Poza tym miał również przyjechać z Komendy Głównej, na moją prośbę, inspektor "Janusz" oraz inspektor "Jacek" z obwołu AK. W nocy przybliżył się do Tykocina "Kmicic" ze swoim oddziałem. Przyłączyłem się do nich i pod osłoną nocy opuściłem to miasteczko. Po trudach podróży i po przespanej nocy, kiedy wyszedłem ze schronu- cały Czerwony Bór skąpany był w promieniach słońca. Ruch w obozie niebywały, alumni przygotowywali się do egzaminów w Szkole Podchorążych i Szkole Podoficerskiej. Na miejscu był już "Jacek" z AK, oczekiwano jeszcze "Janusza" z Warszawy, który niebawem miał przybyć. Ustaliłem skład komisji egzaminacyjnej: Ja, jako Komendant Okręgu- przewodniczący, a "Jacek" i "Janusz"- egzaminatorzy, "Ikar" i "Wiesław"- przedstawiciele Komendy Powiatu. Po południu "Wiesław" zameldował, że szkoły gotowe są do egzaminu i zdał raport ze stanu obecnych.

Pierwsza część egzaminu była przeznaczona na pytania z zakresu teorii dotyczące nauki o broni, regulaminów wojskowych, terenoznawstwa, walk ulicznych i dywersji. Druga część obejmowała: musztrę z bronią, szermierkę i ostre strzelanie.

Sporządzono dwie listy uczniów: jedną dla podchorążych, drugą dla podoficerów. Najpierw do egzaminu przystąpili podchorążowie, których rozdzieliłem na zespoły i każdy z nas egzaminował grupami egzamin przebiegał sprawnie i szybko. Kandydaci byli dobrze przygotowani, z resztą trzeba się było liczyć z tym, że nie można było od nich wymagać takich wiadomości, jakie były wymagane w normalnych szkołach podchorążych przed wojną. Warunki przecież nie były normalne- była okupacja.

Następnego dnia zakończyła się pierwsza część egzaminów podchorążych. Zaraz potem przystąpiono do egzaminów w szkole podoficerskiej. Obóz był ubezpieczony przez wartowników i patrole na skrajach Czerwonego Boru. W trzecim dniu przeprowadzono ćwiczenia praktyczne i ostre strzelanie. Te zajęcia były dość ryzykowne, ponieważ echa wystrzałów rozlegały się aż po krańce Czerwonego Boru, a przecież posterunki żandarmerii były w Zambrowie, Szumowie i w Wyszomierzu. Wyniki egzaminów były zadowalające. Sporządzono wykazy w trzech egzemplarzach napisanych na maszynie przez "Krystynę" Przeździecką- siostrę "Wiesława". Umieszczono pseudonimy absolwentów i wyniki egzaminów. Poza tym sporządzono protokół, do którego załączono wykazy egzaminacyjne, podpisane przez komisję egzaminacyjną. Jeden egzemplarz przeznaczony był dla Komendy Głównej do zatwierdzenia, drugi dla archiwum, a trzeci dla Komendy Okręgu AK. Każdy z absolwentów otrzymał zaświadczenie z ukończenia szkoły z przybitą pieczęcią Okręgu, z wymienieniem stopnia wojskowego i pseudonimu. Jeden z podchorążych wyróżniający się wynikami-"Topolski", otrzymał awans na plutonowego podchorążego, a reszta na kaprali podchorążych. Natomiast absolwenci szkoły podoficerskiej otrzymali stopnie starszych strzelców. Następne, przyszłe awanse miały zależeć od sprawności bojowej i pracy konspiracyjnej.

Podyktowałem rozkaz Komendy Okręgu nr 21, który brzmiał:

Żołnierze! W dniu dzisiejszym zakończyliśmy egzaminy w Szkole Podchorążych i Szkole Podoficerskiej. Wydaliśmy Wam cenzury ze sprawności bojowej i przygotowania do walki z odwiecznym wrogiem naszej Ojczyzny.

Jesteśmy zadowoleni, że w tak ciężkich warunkach osiągnęliście pomyślne wyniki. Świadczy to o Waszej zdecydowanej woli i odwadze. Jesteśmy pewni, że nie zawiedziecie pokładanego w Was zaufania i nadziei. Żyjemy w czasach historycznych i musimy dać dowód naszej miłości do Ojczyzny. Wróg niszczy nasz naród i kraj. Nasi bracia krwawią się na wszystkich frontach świata, nasi najbliżsi i koledzy przeżywają tragiczne chwile w obozach zagłady. Nie możemy obojętnie patrzeć na zbrodnie niemieckie w naszym kraju. Musimy iść do boju, aby wypędzić wroga z naszych ziem i odzyskać wolność. Waszym obowiązkiem jest wykonywanie rozkazów przełożonych. W razie potrzeby musicie nawet życie swe oddać za Ojczyznę. Niech żyje Polska Niepodległa! Niech żyją żołnierze konspiracyjni i żołnierze walczący na wszystkich frontach świata!

Podpisał Komendant Okręgu "Cyryl" – "Bohdan"

Po odczytaniu rozkazu odbyła się wspólna kolacja, było gwarno, wesoło i przyjemnie. Żołnierze zegnali swoich kolegów, inspektorów i mnie piosenką: "Żołnierz drogą maszerował, nad serduszkami się użalił..." Podziękowałem serdecznie, każdego z nich uścisnąłem, złożyłem ojcowski pocałunek i opuściłem Czerwony Bór. Razem z oddziałem "Kmicica" udałem się na teren bielski. Przejeżdżaliśmy przez wieś Laskowiec, kiedy usłyszeliśmy muzykę i wesołe piosenki. Zabaw odbywała się na całym i to wtedy, kiedy kraj spływał krwią i tragedią. Szepnąłem do "Kmicica", aby zrobił porządek. Zeskoczył on z furi i udał się do chałupy, gdzie odbywała się zabawa. Nagle muzyka zamilkła, zrobiło się cicho, kiedy "Kmicic" stanął w drzwiach. W jednej ręce trzymał pepeszkę, w drugiej bat. -"Czy wy wiecie, że toczy się wojna i giną żołnierze na frontach?! Krew niewinnych ludzi płynie strumieniami w więzieniach i obozach, a wam się chce zabawy! Nie wiecie, że w całym kraju jest żałoba?!"

Rozbierajcie się do naga!" -powiedział. Zebrani zaniemówili z wrażenia i stali osłupieni. "Kmicic" skierował lufę pepeszki w sufit, nacisnął spust i wypalił całą serię. Smagnął kilku chłopców batem i kazał grać muzykantom oberka, a młodemu rozebranemu tańczyć. Dziewczeta płakały, a zażenowani chłopcy spoglądali jeden na drugiego, nieznacznie się uśmiechając. Efekt tego wyczynu "Kmicica" był wspaniały, bo od tej chwili w tamtejszej wsi odechciało się zabaw. Pytałem "Kmicica" czy nie za ostro wystąpił. Odpowiedział, że jednak trzeba było dać im nauczkę. Niech wiedzą, że w kraju żałoba narodowa i jest wojsko polskie.

Przechodziliśmy nocą przez wieś Wypychy. Miejscowy sołtys zameldował, że Niemcy budują w pobliżu drogę dla celów wojskowych, a kierownik robót-Niemiec- pędzi ludzi do pracy i brutalnie się z nimi obchodzi. Samochód- mieszkanie kierownika stał niedaleko wsi. "Kmicic" udał się tam, kazał otworzyć drzwi, czego Niemcy oczywiście nie chcieli wykonać. Posypały się strzały w zamek. Dopiero wtedy wyszli, z podniesionymi rękami. Zabrano im pistolety, ubrania i obuwie. Kierownika robót rozebrano do naga, położono na ziemi i wlepiono 30 batów. Po tej egzekucji "Kmicic" zapytał Niemca: " Czy wiesz, kto ciebie bije?" - "Tak"-odpowiedział- to żołnierz polski". "Kmicic" zapowiedział mu, że jeśli któregoś Polaka spotka jakakolwiek przykrość, to niech się liczy z tym, że go znajdziemy i rozstrzelamy. Nazajutrz przybyła żandarmeria i zrobiła dochodzenie. Na prośbę kierownika robót nie było żadnych represji na miejscowych ludziach, a Szwabisko stał się uprzejmy wobec Polaków.

Dni powszednie

Po opuszczeniu Białegostoku udałem się na spotkanie z "Mścisławem"-Komendantem Okręgu AK, które odbyło się w lasach w pobliżu Czarnowa. Dokładnie omówiliśmy naszą współpracę. Na razie postanowiliśmy nie łączyć sztabów i oddziałów wojskowych, gdyż byłyby to zbyt silne jednostki bojowe, a poza tym sytuacja była niepewna jeżeli chodzi o akcję "Burza". Już bowiem dochodziły wiadomości ze wschodu, że Sowieci zajmując nasze tereny wschodnie rozbrajali polskie oddziały, zwykłych żołnierzy wcielano w szeregi frontowe, a oficerów wywożono w nieznanym kierunku. Te wieści były dla nas straszliwe.

Mając przy sobie oddział "Kmicica" udałem się w kierunku Czerwonego Boru. Pewnej nocy "Kmicic" przyprowadził mi pięknego konia, którego zabrał niemieckiemu zarządcy majątku w Jaszewie. Koń był cudowny, tresowany i wspaniale brał przeszkody. Polubiłem go bardzo. Ponieważ nie mogłem go trzymać, z powodu bliskości Jaszewa, więc po kilku dniach moich przejazdów zmuszony byłem odesłać go do Czerwonego Boru. Po kilku tygodniach Czerwony Bór został spacyfikowany przez silne oddziały niemieckie i koń wpadł w ręce żandarmerii. Nasze oddziały stoczyły bitwę niedaleko Kaczkowa, na skraju Czerwonego Boru, tuż przy Szumowie. Naszymi wojskami dowodził inspektor porucznik "Jacek" z AK i podporucznik "Wiesław" Przeździecki- Komendant Powiatu Narodowej Organizacji Wojskowej. W tej bitwie zginął "Wiesław", pośmiertnie odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Zginął również "Zagłoba" oraz 7 żołnierzy. Reszta - ponad 100 osób z "Jackiem" na czele- po przerwaniu pierścienia niemieckiego przedarła się w kierunku Osowca. Jak później stwierdzono zabitych Niemców było stu, a to dlatego, że inny oddział pod dowództwem "Białego" niespodziewanie uderzył na tyły wojska niemieckiego i dzięki temu również nasz oddział z Czerwonego Boru wydostał się z kotła. Obóz w Czerwonym Borze został zdobyty przez Niemców. Wszystkie zapasy wpadły w ich ręce.

W lipcu 1944 roku front wschodni przebiega na linii Równe-Baranowicze-Wilno. Rozpoczyna się przygotowanie do ewakuacji niemieckich urzędów administracji i urzędów policyjnych. Ze względu na niebezpieczną sytuację, nie ma mowy o urzędowaniu w moich mieszkaniach na wsi. Muszę urzędować w polu, w zbożach lub w schronie, który nam już przygotował "Bem". Schron był dobrze zamaskowany, w zagajniku obok wsi Kruszewo-Kobylin.

W tych groźnych i trudnych czasach przybywa do mnie z pocztą dwóch gońców z Warszawy - "Radzik" i "Genek". Dowiaduję się od nich, że Komendant Okręgu Wilna AK gen. "Wilk" Krzyżanowski podjął akcję "Burza" i mimo dużych strat w żołnierzach opanował Wilno, oddając je Sowiecom bez boju. Rozpoczęły się rozmowy "Wilka" z dowództwem sowieckim, które trwały tylko kilka godzin. Oddziały polskie zostały rozbrojone. Oficerów aresztowano a "Wilka" NKWD wywiozło samolotem do Moskwy.

Ten sam los spotkał "Prawdźica" - Komendanta Okręgu Nowogródzkiego AK, którego oddziały ujawniły się w związku z akcją "Burza".

Biorąc pod uwagę tragedię naszych żołnierzy na wileńszczyźnie i nowogródzkiej, wydałem rozkaz tylko trzem naszym oddziałom znajdującym się w powiecie białostockim, bielskim i wysokomazowieckim, aby tylko niewielką liczbą żołnierzy realizowały akcję "Burza". "Trzask" rozkazu nie wykonał, bo nie miał zaufania do Sowieców. Podporucznik "Stern" ujawnił grupę niedaleko Wyszkowa, najpierw uderzając na tyły wojsk niemieckich i łamiąc front. W ten sposób dał możliwość Sowiecom łatwego zdobycia tego terenu. W podziękę dowódca kompanii został aresztowany przez NKWD, a jego oddział rozbrojony. Komendant Powiatu "Lot" uderzył swym oddziałem z Pszczółczyna na Narew i opanował nieduży odcinek lewego brzegu, robiąc przyczółek do przeprawy dla wojsk sowieckich.

Ten oddział został też rozbrojony, żołnierzy wcielono do oddziałów frontowych, a "Lota" wywieziono w nieznanym kierunku. Nasze próbne wystąpienia współpracy nie udały się tylko dlatego, że były to oddziały Armii Krajowej. Z pewnością inaczej by to wyglądało, gdyby razem wystąpiły siły AL. Lub PAL, ale na tych terenach takiego wojska w ogóle nie było. W tym czasie szosa prowadząca z Białegostoku do Warszawy przez Zambrów była przeładowana taborami, wojskiem i bydłem, pędzonym przez uzbrojonych ukraińskich pastuchów. Na kilka dni front zatrzymał się nad Narwią. Niedaleko mojego schronu zostały ustawione armaty ciężkiego kalibru i przez kilka dni ostrzeliwały drugi brzeg Narwi. Przebywałem w schronie z kilkoma oficerami i małymi dziećmi gospodarza Mościckiego. "Bem", mądry chłopiec, wspaniale zamaskował schron, na wierzchu zaorany i zasiany zbożem, a wejście było ukryte pod krzakiem jałowca. Niemcy chodzili po nim, nie wiedzieli, że pod nim są żywi ludzie, i to partyzanci. O wschodzie słońca krzak podniósł się do góry, buchnęło światło, a u wejścia stanęła żona Mościckiego.

Krzyknęła: - "Panowie, wychodźcie! Już nie ma Niemców, we wsi są Sowietci."

Nowe kłopoty i moje aresztowanie

Wychodzimy z lasku na pole i spotykamy masę żołnierzy sowieckich ciągnących za sobą lekkie i ciężkie karabiny maszynowe, trzymających pepeszki gotowe do strzału. Nagle pada silny głos: "Stoj! Wy kto? Giermańcy? - Ja odpowiadam:" Nie, my Polacy. - "No, charaszo, a tam Giermańców niet?"- "Niet- odpowiadam- oni udrali. Rebiata, w pieriod na Giermańca, na Berlin!" Oto i nasza rozmowa.

Zwarta masa wojska sowieckiego ruszyła biegiem do lasku ciągnąc za sobą karabiny z amunicją na saneczkach (lato!) lub na taczankach. My tymczasem doszliśmy do wsi Kruszewo. Wszędzie pełno Sowietów, brudnych, nieumytych i głodnych. Miejscowi ludzie przychodzili im z pomocą, dając to, co jeszcze nie zostało zabrane przez Niemców i Ukraińców. Nic dziwnego, że żołnierze są głodni, kuchni polowej nigdzie nie widać, a żołnierze gotować nie mają czasu, bo muszą iść naprzód według rozkazu.

Szosa Białystok - Warszawa zapchana jest różnorodnym taborem wojskowym: lekką i ciężką artylerią, samochodami z amunicją, katuszami przykrytymi plandekami. Te kolumny posuwają się bardzo wolno, bez żadnego ubezpieczenia, bo i nie potrzeba, gdyż Niemcy mają już widać mało samolotów, a te które jeszcze są - potrzebniejsze do bombardowania pierwszych linii frontu. Dużo żołnierzy sowieckich wałęsa się w tym chaosie bez przydziału, pogubili swoje jednostki wojskowe i kontrrozwietka NKWD ma z nimi dużo roboty. W takich chwilach jak obecna, nie wiem co mam ze sobą zrobić. Sieć łączności przerwana, żadnego kontaktu z nikim nie mam, nasuwają się myśli jak najbardziej pesymistyczne.

Boję się aresztowania i wywózki w głąb Rosji. Należy zatem czekać, aby front odsunął się od nas jak najdalej, a potem okaże się co dalej robić.

Nareszcie nawiązałem łączność z Białymstokiem. Przybyła "Wanda" - Komendantka SPK - z doniesieniem, że wojewoda Przybyszewski został aresztowany przez NKWD i wywieziony w nieznanym kierunku. Również aresztowano personel aparatu administracyjnego, ujawnionego w związku z akcją "Burza". Udałem się do Białegostoku, aby bliżej zorientować się w sytuacji.

W mieszkaniu p. Gołębiowskiej, żony aresztowanego wicewojewody, miałem spotkanie z Jarzębskim, który ogłosił się konspiracyjnym wojewodą w czasie nieobecności Przybyszewskiego. Przeprowadziliśmy rozmowę na aktualne tematy i zdecydowaliśmy, że nie możemy się ujawnić ze zrozumiałych przyczyn. Należy trochę odczekać, aby mieć jasną sytuację i dopiero wtedy podjąć decyzję.

Wróciłem do Kruszewa samochodem sowieckim. Lokomocja dobra, wystarczyło tylko stanąć na szosie, podnieść do góry butelkę samogonu, a przejeżdżający Sowiet chętnie zabierał do środka i odwoził tam, gdzie było trzeba. Na punkt do Kruszewa powoli przybywają moi podwładni, zwracają się o wskazówki na przyszłość. Robi się ruch wokół mnie. Wydaję polecenia, aby nie przeprowadzać żadnej akcji wojskowej w terenie, aby czekać cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Z terenu otrzymuję meldunki o aresztowaniu naszych członków organizacji i wywożeniu ich do obozu w Dojlidach lub do więzienia. Powodem jest denuncjacja ze strony niektórych członków, którzy jak się okazało, mieli lewicowe poglądy i jako "wtyczki" weszli do naszej organizacji.

We wsi Kruszewo stacjonuje pralnia przyfrontowa. Naczelnikiem jest kapitan sowiecki, mający do pomocy duży personel, składający się przeważnie z kobiet. W czasie mojej nieobecności Sowiet dopytuje się gdzie wyjechałem, do jakiej miejscowości i w ogóle kim jestem. Otrzymuje odpowiedź od gospodyni, że w tej wsi byłem nauczycielem i z pewnością wyjechałem do miasta w sprawie uruchomienia szkoły. Minęło kilka dni. Akurat przyszli do mnie "Marcin", "Lis" i "Kmicic", a do izby wpada gospodarz i oznajmia, że nadjechały dwa samochody, a w nich NKWD. "Kmicic" wyskoczył przez okno i skrył się w słonecznikach.

"Lis" wybiegł na podwórze, chwycił kosę i pospiesznie udał się w pole. "Marcin" nie zdążył wybiec, stanął w sieni, w rogu. Gdy drzwi się otworzyły - został nimi zasłonięty. Pułkownik NKWD Winogradow wpadł do mojego pokoju. W tym momencie "Marcin" wybiegł na podwórko, przeskoczył płot i pędem pognął przez pole do lasu i mimo strażaków NKWD-zistów nie zatrzymał się. Zostałem zatem sam. Winogradow był bardzo uprzejmy, zapowiedział krótką wizytę u mnie.

Poprosiłem gospodynię, aby podała zakąskę i wódkę. Przy stole potoczyła się rozmowa na tematy polityczne, wojskowe i ogólne. Byłem bardzo powściągliwy w wypowiedzaniu się i zauważyłem na jego twarzy grymas niezadowolenia. Wstał, wziął mnie pod rękę i powiedział, że musimy przejść do sąsiada- komendanta pralni. Tam kazał podać wódkę. Nalał pełne szklanki i kazał mi pić. Odmówiłem. W tym momencie kapitan wprowadził "Wandę" - Komendantkę SPK. Oświadczył, że ona często przyjeżdżała do tej wsi i z pewnością jest moją łączniczką. Zaprzeczyłem temu i jednocześnie oświadczyłem, że tą panią znam przelotnie, gdyż podczas okupacji niemieckiej była szmuglerką. Sowiec nastawił płytę patefonową, popłynęły melodie tanga. Kazał mi tańczyć z Rosjanką, ale odmówiłem. Za to on zatańczył kozaka. Wypił jeszcze kilka szklanek wódki, przybliżył się do mnie i ryknął: "No szto Polaczki, my wsio znam, wy komendant "Bem" - Mościcki!" wybuchnąłem śmiechem. On zgłupiał. Pomyślałem, że on o mnie nic nie wie. Oświadczyłem, że nie jestem żadnym "Bemem" i nie wiem o co mu chodzi. Na to krzyknął do swoich: "Brać ich! Oni nam wsio skażut!"

Znaleźliśmy się w samochodzie ciężarowym, wśród NKWD-zistów. Jakiś czas samochód kręcił się po pobliskich wsiach, wyciągano ludzi z domów, dołączano do nas i samochodem dowieziono nas na ciemną noc do Zambrowa. W drodze udało się szepnąć "Wandzie", że my w ogóle się nie znamy. W Zambrowie wyłączono mnie z grona aresztowanych i zamknięto w piwnicy, w jakiejś willi, w której urzędowało NKWD.

Całą noc nie spałem. Pod oknem stał żołnierz z pistoletem maszynowym i stale zaglądał do okienka piwnicy, sprawdzając czy jestem. Rano nie dano mi wody do mycia, ani śniadania.

Wkrótce wyprowadzono mnie z piwnicy i doprowadzono do płk Winogradowa. Winogradow był Żydem. Od razu zapytał mnie, jak się czuję.

Było to perfidne pytanie, zważywszy na warunki, w których się znalazłem. Oczywiście powiedziałem, że źle i że nie dostałem wody do mycia, jestem bez śniadania, a poza tym umieszczono mnie w cuchnącej piwnicy. Zaraz podano mi wodę i otrzymałem kawałek chleba i konserwę z napisem "pork" oraz kubek kawy. Po posileniu się, Winogradow zaproponował mi, abym powiedział wszystko o sobie i o mojej działalności konspiracyjno - organizacyjnej. Oczywiście powiedziałem, że uczyłem w szkole, do żadnej organizacji nie należałem i nie jestem "Bemem", za którego mnie bierze. "Bemem" jest Bolesław Mościcki z Kruszewa, który jest kaleką, ma garb i moim zdaniem on nawet nie nadawałby się do żadnej organizacji.

Jeśli chodzi o przydomek, to ja go tak nazwałem, bo przypominał z fizjonomii historycznego Bema. Nadmieniam, że razem ze mną w tym czasie wzięty był przez NKWD brat "Bema", który następnego dnia był zwolniony, a ja miałem możliwość powiedzieć mu, aby "Bem" uciekł z Kruszewa. Następnego dnia Winogradow sam "Bema" aresztował. W drodze do Zambrowa zatrzymał samochód, kazał "Bemowi" zaświecić latarką w oczy i zaczął się śmiać. - "Ty jesteś "Bem"- powiedział, wybuchnął śmiechem, okręcił go kilka razy dookoła. Kopnął i kazał uciekać, a sam wsiadł do samochodu i odjechał. "Bem" z głupią miną wrócił do domu.

Następnego dnia żołnierz NKWD wyprowadził mnie do ogródka, abym mógł trochę pooddychać świeżym powietrzem. Za parkanem zauważyłem "Wandę" - też spacerującą. Strzegący jej żołnierz siedział na ławce i drzemał. Podeszedłem do siatki i szepnąłem "Wandzie" Krzyszkowskiej, aby skorzystała z okazji i uciekła. I rzeczywiście, wkrótce zobaczyłem ją w polu, niedaleko lasu. Żołnierz raptem zauważył, że "Wandy" nie ma. Zaklął siarczyście, dopadł konia i zobaczywszy "Wandę" w polu - złapał ją.

Badania odbywały się w nocy, nie stosowano wobec mnie żadnych tortur. Winogradow stale mnie pytał, czy znam "Mścislawa" Liniarskiego i "Bohdana" (mój pseudonim). Uporczywie twierdziłem, że ich nie znam i nic o nich nie słyszałem. Mówił, że są to komendanci na województwo i stoją na czele dwóch organizacji: pierwszy to działacz sanacyjny, a drugi to narodowiec. Winogradow chciał ich za wszelką cenę zatrzymać. Pomyślałem, że jednego już przecież ma. Przy następnej rozmowie stawiałem Rosjanom zarzut, że aresztują Polaków bez żadnego przewinienia, a stale mówią o istnieniu polskiego rządu, polskich sił zbrojnych i polskiej administracji. Ja natomiast nie widziałem do tej pory ani jednego polskiego żołnierza, ani jednego Polaka, który byłby w jakimś urzędzie. Którejś nocy zostałem doprowadzony przez żołnierza do innej celi, w której przebywał Winogradow w towarzystwie porucznika w polskim mundurze i kobiety w stopniu podporucznika. Przedstawił mi ich jako przedstawicieli rządu lubelskiego. Rozmowa trwała kilka godzin. Dowiedziałem się, że porucznik pochodzi z Pietryłowicz, a niewiasta pochodzi z Kamienia w województwie nowogródzkim. Ucieszyłem się z tego i oświadczyłem, że ja pochodzę z Nalibok, gdzie uczęszczałem do szkoły. Poprosiłem ich o pomoc w wydostaniu się na wolność. Postawili zasadniczy warunek: ujawnienie siebie i żołnierzy konspiracyjnych.

Ponieważ niczego nie mogli dowiedzieć się ode mnie- Winogradow kazał przyprowadzić "Wandę". Wyglądała okropnie, była posiniaczona i miała opuchniętą twarz. Winogradow krzyknął do niej: "Mów to, co nam mówiłaś o nim!" Uprzedziłem ją i powiedziałem: "Panowie, ona będzie mówiła niestworzone rzeczy, jest pobita i prawie nieprzytomna." Dzielna "Wanda" krzyknęła: "Zbrodniarze, ja nic o nim nie wiem! To wyście mnie zmusili, abym mówił nieprawdę!" I pokazała swoją zmasakrowaną twarz. Wtedy Winogradow krzyknął: "Wyprowadzić tę k...!" Mnie też zaprowadzono do izby piwnicznej. Więcej już mnie nie badano. Następnego dnia wsadzono mnie z "Wandą" do samochodu i zawieziono do Białegostoku. Mnie wpakowano do więzienia, a "Wandę" do siedziby NKWD, która mieściła się w pałacu Branickich. Warunki w więzieniu były prymitywne, a nawet fatalne.

Wszędzie bród, smród i ńedza. Jedzenie też fatalne, niczym się nie różni od wyżywienia więźniów za czasów niemieckich. Myjemy się na dziedzińcu więziennym, widzimy przy murach rozkopane groby więźniów wymordowanych przez hitlerowców. Straż więzienna składa się z polskich milicjantów. Pewnego dnia zbliżył się do mnie jeden z nich z pytaniem, czy nazywam się Żywicki, co potwierdziłem. Wtedy otrzymałem gryps, w którym "Jurand" Pietraszkiewicz- szef organizacyjny- pisał, abym zaufał temu strażnikowi, jest to bowiem jego dobry znajomy. Od tej chwili miałem kontakt z naszymi ludźmi. Każdego dnia otrzymywałem nieoficjalnie paczuszkę żywnościową, więc warunki więzienne znacznie się poprawiły. W celi atmosfera była na ogół dobra. Każdy oczekiwał zwolnienia, ponieważ nie spowodował dotychczas żadnego wykroczenia przeciwko władzy radzieckiej. Złapano ich przeważnie w lesie jako partyzantów, rozbrojono i wsadzono do ciupy. Byli tam różni więźniowie, często wydani przez szpiclów, których nie brakowało w terenie. Całymi godzinami śpiewano pieśni patriotyczne i piosenki partyzanckie. Brałem udział w ich śpiewaniu i nawet nauczyłem współwięźniów kilku nowych. Piosenki śpiewaliśmy nawet na głosy, a melodie rozbrzmiewały w całym więzieniu. Strażnicy nie zabraniali śpiewu, nawet chętnie słuchali i prosili o piosenki partyzanckie. Na własne oczy widziałem, jak młody strażnik stał pod oknem, słuchał tych pieśni i płakał. Miał na imię Henryk.

Prawie co drugi dzień w czasie mojego pobytu w białostockim więzieniu otrzymywałem grypsy oraz żywność od państwa Decyków- porządnych i oddanych mi ludzi. W jednym z grypsów "Jurand" donosił, że jest planowana moja ucieczka z więzienia. Wszystko jest już przygotowane. Za kilka dni, w czasie spaceru, zostanę wyłączony z grupy więźniów, doprowadzony przez strażnika do muru, gdzie leżą belki i przy pomocy jednej z nich przedostanę się przez mur. Będą tam już czekać moi koledzy. Niestety, ten plan nie udał się, gdyż w dniu planowanej ucieczki na dziedziniec więzienny podjechał samochód i zostałem wywołany przez NKWD-zistę i odwieziony do pałacu Branickich na badania. Pałac był zupełnie wypalony.

Ocalało tylko kilka pokoi i w nich właśnie urzędowało NKWD. Wprowadzono mnie do pomieszczenia, a właściwie wypalonej celi, w której czuć jeszcze było spaleniznę. W celi było kilkanaście osób, które w ciszy siedziały na pryczach. Ja też usiadłem i patrzyłem w małe, zakratowane okienko.

Minęły dwa dni. Będąc na spacerze zobaczyłem w oknie "Wandę", która dawała mi znaki, że ją badają. Położyłem palec na ustach, aby w ten sposób dać jej do zrozumienia, że o mnie nic nie wie. Skinęła głową w odpowiedzi, potwierdzając, że zrozumiała. Chodziliśmy wtedy w koło, pod baczynym okiem białoruskiego milicjanta, który odznaczał się szczególnym okrucieństwem i bezczelnością. Za wymienienie z kolegą choćby jednego słowa beształ najgorszymi wyzwiskami, względnie dawał znak gwizdkiem, aby więźnia zabrano ze spaceru do celi. Na podwórku, przy kuchni siedziało dwóch więźniów, którzy zajmowali się obieraniem kartofli. Zbliżając się do nich usłyszałem swój pseudonim "Bohdan". Przyjrzałem im się bacznie i rozpoznałem ich.

Obaj byli ze sztabu AK, od "Mścislawa" Liniarskiego. Jeden to "Szubrak", zaś drugi - "Andrzej". Udało mi się zamienić z nimi kilka słów.

Zdążyli mi powiedzieć, że NKWD żąda, aby wydali "Mścislawa" i mnie. Kiedy już byłem w celi, podszedł do mnie młody człowiek i przedstawił się: "Jestem Moskalewicz. Prowadziłem w Białymstoku grupę dywersyjną, która podlegała panu. Aresztowano mnie z bronią w ręku, nie chciałem się poddać. Ranilem kilku NKWD-zistów i grozi mi kara śmierci." Zapytałem, skąd wie, że jestem komendantem? Odparł, że powiedział mu to "Szubrak" podczas spaceru. W takim razie musimy już trzymać się razem i ułożyć plan ucieczki z więzienia. Zwróciliśmy uwagę na okno, w którym śrubami umocowana była kratka. Moskalewicz miał nóż, na spacerze zdobył kawałek żelaza i natychmiast przystąpił do wyrywania kraty. Po kilku dniach usilnej pracy, kratę można było już wyjmować. Wszyscy obecni w celi zgodzili się na ucieczkę, z wyjątkiem jednego, z pochodzenia Ukraińca. Moskalewicz zagroził mu utratą życia, jeśli piśnie choć słówko.

Ukraińiec przyrzekł, że nikomu nie powie o naszej ucieczce. Na następnym spacerze znowu zobaczyłem w oknie "Wandę". Udało mi się powiedzieć jej po łacinie, że tej nocy uciekam. Po południu ustaliliśmy kolejkę wyskakiwania z okna. Ja miałem wychodzić jako drugi. Jednak- co za pech! Moskalewicz, który miał skakać pierwszy, został zabrany z celi. Teraz więc ja idę jako pierwszy. Jest ciemno, około północy. Robimy spięcie instalacji elektrycznej, robi się ciemno w całym gmachu. Współtowarzysze szybko podsadzają mnie do okna. Wyjmuje kratę i wychodzę na długi balkon. Czołgam się na brzuchu do jego końca, wychylam głowę i obserwuję sowieckiego żołnierza spacerującego wzdłuż budynku. Kiedy znalazł się w drugim końcu, szybko poderwałem się, skręcając za róg budynku i skoczyłem na placyk z wysokości pierwszego piętra. Poczulem ból w nodze, ale popędziłem co sił w kierunku ruin. W pierwszych chwilach straciłem orientację w ruinach dawnej żydowskiej dzielnicy. Krótko błąkałem się aż w końcu trafiłem na ulicę Grunwaldzką i zapukałem do okna p. Kamińskiego. Przyjęto mnie tu z otwartymi ramionami. Następnego dnia "Bartosz" - Horodko sprowadził chirurga, który stwierdził nadwężenie prawej nogi i lekkie pęknięcie kości goleniowej.

Nieprzyjemna historia. Na tym punkcie nie mogłem długo przebywać, bo miejsce było znane naszym członkom z poprzednich czasów. Zjawił się "Lis" i zaproponował mi miejsce przy dworcu kolejowym, u p. Kurowskiego. Chętnie na to przystałem. Nowe mieszkanie było piękne i wygodne, ludzie bardzo mili i przyjemni. Niepokoiło mnie tylko, że to miejsce zna Górski, który był zaufanym "Bartosza", a obecnie jest na usługach NKWD. Dochodzą do mnie "Lis", "Jurand" i "Marcin". Orientują mnie w sprawach aresztowań ludzi przez NKWD, mówią o wsadzaniu do więzienia i wysyłaniu do obozu na Dojlidach, w pobliżu Białegostoku.

W mieszkaniu, w którym się zatrzymałem nie czuję się bezpiecznie, jestem zdenerwowany, a do tego dokuczają mi bóle nogi. Mając jakieś niejasne poczucie nadciągającego nieszczęścia, żądam od "Lis" zmiany punktu mojego pobytu.

Tej samej nocy jestem przerzucony no nowego mieszkania, przy szosie południowej. Boże, jakie mam szczęście! Okazuje się, że następnego dnia po opuszczeniu poprzedniego lokalu, NKWD przeprowadziło rewizję w willi p. Kurowskiego, a szukając mnie- aresztowano właściciela. Domyśliłem się, że to robota szpicla Górskiego.

Bez miejsca w Ojczyźnie

Postanowiłem za wszelką cenę opuścić Białystok, mimo, że mam nogę w gipsie. Dostaję furmankę i ciemnym, późnym wieczorem - jesienią 1944 roku udaję się w kierunku Strabli. W Surażu zwalniam furmankę, przeprowiam się łódką przez Narew, docieram do księdza miejscowej parafii i tu znajduję schronienie aż do czasu wyleczenia nogi. Otrzymuję wiadomość, że "Bartosz" jest aresztowany. Żądają, aby mnie wydał i w tym celu wożą go po terenie. Ma wskazać miejsce mego pobytu. W drodze do Strabli NKWD-ziści zdobyli beczułkę samogonu i popili się do utraty przytomności.

"Bartosz" skorzystał z nadarżającej się okazji i zdołał zbiec. Kiedy poczułem się na siłach i mogłem chodzić przy pomocy laski, podziękowałem proboszczowi za gościnę i przerzuciłem się do Topczewa, niedaleko Bielska Podlaskiego. Tu było względnie spokojnie i bezpiecznie, ale wciąż zachowywałem niezbędne środki ostrożności.

Roboty konspiracyjnej nie prowadziliśmy. Wszyscy żołnierze poukrywali się gdzie tylko było możliwe. Sowieckich wojsk było pełno po wszystkich wsiach i miasteczkach, a wśród nich rej wodziła kontrrozwiadka (NKWD). Dowództwo sowieckie przygotowywało się do uderzenia w kierunku Warszawy i na całej linii frontu. Boże Narodzenie i Nowy Rok spędziłem w Poświętnem u znajomych księży - ks. Idzikowskiego i ks. Kozłowskiego, w warunkach przyjemnych i atmosferze prawie rodzinnej. Kontakt ze mną ma tylko "Lis", który szczęśliwie nie wzbudza podejrzeń NKWD. 17 stycznia 1945 roku nad ranem, usłyszeliśmy daleką kanonadę artyleryjską i wybuchy bomb. Z pewnością jest to silne natarcie frontowe i mogliśmy tylko przypuszczać, że Niemcy szybko uciekli. Po niedługim czasie ustały wybuchy bomb i pocisków. W tym okresie, na terenach, na których się znajdowałem, wojsk sowieckich już nie było, a tylko od czasu do czasu NKWD penetrowało tę okolicę. Wszystkie siły ruszyły na zachód.

Otrzymałem zawiadomienie od "Gryfa" - komendanta powiatu bielskiego, że szkoła podchorążych, w której nauka rozpoczęła się w czasie okupacji, jest gotowa do egzaminów. "Gryf" pytał, co ma robić? Odpisałem, żeby zakończyć szkolenie, zaś termin egzaminów należy przesunąć na maj i rozpocząć w dogodnym terminie. Tymczasem na terenie całego województwa samoczynnie organizują się oddziały partyzanckie i działają na własną rękę, a dawni żołnierze nie mogą się ujawnić, bo grozi im aresztowanie. W województwie istnieje stan całkowitej anarchii, nie działają żadne władze terenowe. W takiej sytuacji postanowiłem wyprawić się do Warszawy, aby nawiązać kontakt z moimi przełożonymi i wyjaśnić naprężoną sytuację w okręgu. Sprawa wymagała omówieni tym bardziej, że w marcu 1945 roku Armia Krajowa została rozwiązana przez generała Sosnkowskiego - naczelnego wodza na emigracji.

Warszawa sprawiała przygnębiające wrażenie. Widać było tylko ruiny, niektóre domy jeszcze dymiły wskutek podpalenia przez wycofujące się oddziały niemieckie. Na ulicach można było napotkać nie pogrzebane zwłoki ludzi. Poruszanie się utrudniały barykady, głęboki wykopy w poprzek ulic, poprzewracane tramwaje, olbrzymie leje po bombach. Chodziło się raczej po ścieżkach, niż po ulicach. Warszawa przedstawiała koszmarny widok - istne cmentarzysko ludzi i budynków. Udałem się do Pruszkowa i tam przypadkowo spotkałem znajomego członka NOW/AK, u którego w czasie okupacji znajdowała się skrzynka konspiracyjna. Otrzymałem od niego adres "Mieczysława" w Milanówku (Brwinowie), który w tym czasie wznawiał działalność Stronnictwa Narodowego i który był członkiem Delegatury Rządu na Kraj. Dowiedziałem się, że w Delegaturze odbywa się narada, na której omawiana jest sprawa ewentualnego utworzenia rządu wspólnie z członkami PKWN. Narada zgromadziła 16 osób z Delegatury, na czele z wicepremierem Jankowskim i gen. Okulickim.

Przedstawiciele PKWN z Osóbką - Morawskim oraz władze sowieckie zaproponowali naszym ludziom wyjazd do Londynu celem omówienia sprawy z rządem emigracyjnym. Jakie musiało być zdziwienie, konsternacja i co musieli odczuwać nasi ludzie, gdy samolot wylądował na lotnisku Wnukowo koło Moskwy, a tam już czekały samochody NKWD i tych nieszczęśników powieziono wprost do więzienia. Wieść o porwaniu 16-tki piorunem obiegła cały kraj. Teraz najbardziej odważny śmiałek nie miał odwagi się ujawnić. Toteż zaczęła się nowa konspiracja - "NIE", WiN i NZW.

Dzięki "Mieczysławowi" otrzymałem kontakt z Komendą Główną, która po rozwiązaniu AK przyjęła nową nazwę - Narodowe Zjednoczenie Wojskowe (NZW). Zostałem przyjęty przez Komendanta Głównego - "Kubę" Michałowskiego w obecności "Wojtka" Wodzińskiego i "Leszka" Roszkowskiego. Otrzymałem polecenie, aby nie ujawniać oddziałów, ponieważ narażę siebie i moich podwładnych na aresztowanie, wywiezienie z Polski, a nawet na rozstrzelanie. Po powrocie do Okręgu wydałem rozkaz do żołnierzy o dalszej konspiracji i na polecenie Komendy Głównej NZW - zakaz ujawniania się. Należy oczekiwać na rozwój międzynarodowych wydarzeń politycznych i wojskowych. Przyjąłem nowy pseudonim - "Miecz" i zmieniłem nazwisko na Ostrowski.

Poza tym zabroniłem prowadzenia jakichkolwiek dywersji w Okręgu i prowadzenia walki z wojskiem polskim w terenie oraz rozbijania posterunków milicji, chyba, że nasze oddziały zostaną zaatakowane przez siły NKWD lub Urzędu Bezpieczeństwa.

Śledztwo

Na tym terenie były czynne dwie organizacje podziemne: Narodowe Zjednoczenie Wojskowe oraz Wolność i Niepodległość - obie wywodzące się z AK. Skompletowałem Komendę Okręgu NZW, w skład której weszli: ja - ps. "Miecz" jako Komendant Okręgu, członkowie: płk "Iskra" Zwański, "Lis" Lewicki, "Dunajewski", "Marcin" Szmidt "Marian" Kamiński, "Stanisław" Bonarowski" i "Zachar". Uzupełniłem również skład, mocno przetrzebiony, komend powiatowych.

Udałem się w towarzystwie "Zachara" do powiatu bielskiego, gdzie odbyły się egzaminy w Szkole Podchorążych, w lasach niedaleko Ciechanowca. Komendant powiatu "Gryf" i "Dunajewski" dobrze przygotowali żołnierzy do egzaminów i wyniki były zadowalające. Absolwenci otrzymali awanse na podchorążych i nominacje w oddziałach wojskowych. Radiostacja w okręgu działała sprawnie, bez żadnych zakłóceń. Szef propagandy redagował artykuły, które wydawał w naszym piśmie konspiracyjnym "Walka".

W Okręgu Białostockim było coraz gorzej. Często powtarzały się łapanki, tym razem dokonywane przez NKWD i UB. Sam będąc w Ostrowi Mazowieckiej zostałem w takiej łapance aresztowany i wraz z kilkudziesięcioma innymi ludźmi pędzony ulicami miasta, pod bagnietami żołnierzy NKWD. W połowie 1945 roku, już po zakończeniu wojny, na polecenie Komendanta Głównego NZW przybyli do okręgu "Cyryl" - "Leszek" i "Wojtek". Zaproponowali mi objęcie funkcji Komendanta Obszaru, w skład którego wchodziło województwo warszawskie, białostockie i olsztyńskie. Ponieważ mój pobyt tylko w okręgu białostockim był bardzo niebezpieczny, więc zgodziłem się i przyjąłem tę funkcję. W Warszawie oficjalnie dostałem nominację na Komendanta Obszaru NZW i awans na stopień majora. Szczerze mówiąc, niechętnie przyjąłem tę funkcję. Przede wszystkim byłem zmęczony, wyczerpany nerwowo i dość miałem tej pracy podziemnej, stałego ukrywania się. Tylko jedna myśl podtrzymywała mnie na duchu - zmiana sytuacji w Polsce i szybkie wyjście z podziemia.

Komenda Główna otrzymała zapewnienie od rządu emigracyjnego, że z pewnością lada dzień wybuchnie nowy konflikt, tym razem z Sowietami i polska odzyska swoją niepodległość. Te wiadomości rozsiewano po całym kraju. Przyczyniły się one do nieszczęścia wielu ludzi, którzy im uwierzyli i często przypłacili swoim życiem. Jako Komendant Obszaru miałem swoją siedzibę w Warszawie.

W krótkim czasie zorganizowałem prowizoryczny sztab, w skład którego weszli: ja - ps. "Ostromir", "Marcin", "Marian", "Grot" i jeszcze paru oficerów. Na razie nie przejawialiśmy żadnej aktywnej pracy konspiracyjnej, ponieważ były ogromne trudności w zniszczonej Warszawie. Poleciałem swoim kolegom, aby wszyscy zapisali się na wyższe uczelnie, co również sam uczyniłem podejmując naukę w Akademii Nauk Politycznych, na wydziale konsularnym. Rozpocząłem studia 1 października 1945 roku. wydałem rozkaz, szczególnie dotyczący Okręgu Białostockiego, aby rozbroić niektóre oddziały, a młodych ludzi ulokować na terenach zachodnich, na uczelniach lub skierować do pracy. Grupa "Dunajewskiego" uległa likwidacji, a poszczególni członkowie wrócili do swoich domów, między innymi dwóch młodych ludzi - Lisik i Krajanowski.

W niedługim czasie dowiedziałem się od "Marcina" Szmida, że znaleźli się w więzieniu, schwytani z bronią w ręku. Nie wytrzymali ciężkiego badania UB i sygnęli "Garbuska" - Jana Majewskiego, który dobrze mnie znał. Fizycznie ułomny "Garbusek", po otrzymaniu batów oraz mistyfikacji grożącego mu wyroku śmierci, wydał "Marcina" i mnie oraz podał UB moją fotografię. NKWD i UB rozdało moje zdjęcia po wszystkich terenach, gdzie bywałem.

10 października 1945 roku miałem spotkanie wyznaczone przez "Marcina". Miałem rozmawiać z "Lisem" Lewickim na punkcie przy ul. Marszałkowskiej. Ten punkt dobrze znał Jan Majewski. Wchodząc do mieszkania nie zwróciłem uwagi na stojący w oknie kwiatek. Był to umówiony znak ostrzegawczy. Kiedy otworzyłem drzwi zauważyłem dwóch ludzi z bronią w ręku. Jednym z nich był funkcjonariusz UB - Światło. Założono mi kajdanki na ręce i odwieziono czarną limuzyną do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa przy ul. Strzeleckiej w Warszawie.

Samochód zatrzymał się w podwórku, przy gmachu Urzędu Bezpieczeństwa przy ul. Strzeleckiej - na Pradze. Zostałem zaprowadzony do specjalnego pokoju śledczego, który szybko zapełnił się ubowcami w polskich mundurach wojskowych. Rozmawiano tylko po rosyjsku. Na pytania zadawane przez Światło - szefa wojewódzkiego UB - początkowo nie odpowiadałem. Byłem obojętny na wszystkie groźby i krzyki.

Opanowała mnie apatia a przed oczami stanęła groźba śmierci. Światło - żyd z pochodzenia, mając pistolet w ręku, oświadczył mi, że jeśli nie podam swego miejsca zamieszkania - strzeli mi w łeb! Zdałem sobie sprawę, że gra nie jest warta świeczki, a poza tym nikt nie znał mojego adresu i nawet wydając go - nikogo nie narażę. Po namyśle podałem swoje miejsce zamieszkania, jak również kilka punktów na ich żądanie - już dawno "spalonych". Światło przyprowadził Halickiego - kierownika sekcji śledczej, który również był żydem. ten rozpoczął przesłuchanie w obecności kilku Sowietów w polskich mundurach. Badanie trwał 3 dni i 3 noce bez przerwy.

Badanie trwało 3 dni i 3 noce bez przerwy. Oficerowie ubowscy zmieniali się dość często, do nich stale dochodzili inni, oglądali mnie lub zadawali pytania. Szczególnie brutalnie odzywał się jeden z nich. Groził mi karą śmierci bez sądu. Jak się później dowiedziałem od śledczego por. Łojki - był to sam Różański, zastępca Radkiewicza, ministra bezpieczeństwa. W takiej sytuacji i wśród tej zgrai żydowskiej - byłem przygotowany na najgorsze, nawet na rozstrzelanie.

Po trzech dobach badania byłem tak zmęczony, że nie pamiętałem co mówię i jakie mi zadawano pytania. Taka była ich metoda badania, aby nie pozwolić na sen, całkowicie załamać psychicznie i fizycznie, wydusić ode mnie zeznania. Jedzenia przez te dni nie przyjmowałem, ponieważ śledczy stale podsuwał mi śledzie, z pewnością nie wymoczone. Nawet kiedy byłem już mocno spragniony, też nie piłem wody z obawy, że mógłby to być jakiś preparat działający na osłabienie pamięci i mówienia o tych sprawach, o których oni nie powinni wiedzieć. Na razie protokołu nie spisywano, tylko żądano wydania moich podwładnych ze sztabu obszaru i komend okręgowych. Pomimo straszliwej męczarni nie wydałem nikogo. Jak tylko mogłem wykręcałem się brakiem pamięci, twierdziłem że podróże moje kończyły się nocą i zatrzymywałem się u nieznanym mi gospodarzy. Widocznie i oni mieli mnie dosyć na pierwszym badaniu. Odprowadzono mnie na dół, do jednej z piwnic, gdzie przebywało jakieś podejrzanym indywiduum - z pewnością szpicel.

Spałem snem kamiennym.

Obudzono mnie w południe, podano mi zupę, którą zjadłem z apetytem. Głód i pragnienie względnie zaspokoilem. Rozglądałem się po piwnicy, w której już nie było szpicla. Po chwili usłyszałem lekkie pukanie w ścianę. Zauważyłem, że w małej szczelinie pojawiło się czyjeś oko. Gdy przybliżyłem się do niej, jakiś głos zaczął mówić: "Panie, jestem Zygmunt Krajanowski. Przebywam tutaj od tygodnia. Znam Pana, byłem w białostockim okręgu w partyzantce i podlegałem pod pana rozkazy".

Od Krajanowskiego dowiedziałem się, że we wszystkich piwnicach są więzieni: Kazimierz Kobylański, Jan Bielawski, Leon Mirecki, Szymon Paradowski, Kazimierz Wojtczak, Jan Szmidt, Jan Majewski - "Garbusek", Czesław Lisik i jeszcze kilku młodych chłopców należących do NZW. Zacząłem się zastanawiać, skąd znaleźli się tu politycy. Z pewnością UB chce zrobić proces pokazowy i skompromitować Stronnictwo Narodowe, oszkalować rzekomo naszą zbrodniczą działalność.

Nie zdążyłem otrząsnąć się z koszmarnych rozmyślań, kiedy otworzyły się drzwi i strażnik kazał mi wychodzić. Zaprowadził mnie na drugie piętro. Tam już czekał śledczy por. Łojko (pochodził z Baranowicz). Długo ze mną rozmawiał na różne tematy i w końcu zaproponował mi współpracę z UB i ujawnienie wszystkich członków NZW na terenie całego obszaru, a w szczególności w okręgu białostockim. Obiecał, że jeśli przyjmę te warunki - natychmiast zostanę wypuszczony na wolność. Oświadczyłem mu, że jest to niemożliwe. Znajduję się pod kluczem UB, więc siłą rzeczy jestem skompromitowany i nikt nie będzie mi wierzył - mowy nie ma, abym się na to zgodził. Śledczy nadmienił mi, że w śledztwie nie będzie wymuszał zeznań, a protokół będzie pisał pod moje dyktando. Protokół rozpoczął od moich danych personalnych. Podałem mu moje nieprawdziwe nazwisko - Ostrowski, przy którym pozostałem aż do momentu opuszczenia więzienia. Spisywanie protokołu trwało kilka dni. Prócz danych personalnych musiałem podać wszystkie moje funkcje i działalność od wybuchu II wojny światowej, zarówno w Okręgu Nowogródzkim, jak i w Białostockim NOW/AK - aż do momentu mojego aresztowania.

Po podpisaniu wszystkich stron tej części protokołu śledczy poczęstował mnie kolacją.

W piwnicznych lochach szybko nawiązałem łączność prawie ze wszystkimi znajomymi. Uzgodniliśmy, co każdy z nas ma mówić w śledztwie. Miało to dla nas wielkie znaczenie w późniejszym czasie. Od Kobylańskiego dowiedziałem się, że będąc jeszcze w Moskwie (został aresztowany i wywieziony razem z tzw. szesnastką), po zwolnieniu z więzienia został doprowadzony do ambasadora PKWN Modzelewskiego. Podczas rozmowy przedstawiciel tzw. Polskiej Ludowej powiedział, że wynikło nieporozumienie i radził mi, aby po powrocie do kraju udał się do rządu PKWN celem omówienia legalizacji Stronnictwa Narodowego. Kobylański zastosował się do tej rady i zameldował się u Osóbki - Morawskiego. Po zapoznaniu się z propozycją legalizacji, poprosił, aby Kobylański przedłożył swoje dezyderaty na piśmie z podaniem przyszłego zarządu SN. Upłynęło kilka tygodni i członkowie zarządu SN zostali aresztowani i osadzeni w piwnicznych "apartamentach".

Na nowo rozpoczęły się moje badania. Prowadził je Arcimowicz, który okazał się brutalny, ostry i bezwzględny. W czasach okupacji działał na terenie łomżyńskim. Był na usługach NKWD, później gestapo, a obecnie jest śledczym Urzędu Bezpieczeństwa. Został postrzelony w nogę przez AK i obecnie chodzi o drewnianej nodze. Wchodząc przywitał mnie stekiem ordynarnych słów. Żądał wydania ludzi mi podległych, szczególnie dowódców grup dywersyjnych, ujawnienia archiwum i magazynów broni. Na moje milczenie dostał dosłownie ataku szału. Rzucił się na mnie, a ja odepchnąłem go tak, że o mało nie przewrócił się na stół. Wyjął pistolet i groził mi zastrzeleniem, ale i to nie pomogło. Na odgłos krzyków wpadł inny śledczy - kpt Chalicki. Zażądałem innego śledczego. Arcimowicz opuścił pokój, a jego miejsce zajął por. Sieczko, który już spokojnie zadawał mi pytania, na które odpowiadałem. Treść badania była taka sama, bo miał przed sobą kartkę z pytaniami od kierownika sekcji śledczej.

Między innymi pytaniami było takie: kto był dowódcą NOW w czasie okupacji? Odpowiedziałem, że był nim płk Józef Rokicki, który po scaleniu i złożeniu przysięgi w AK pełnił funkcje Inspektora AK na Okręg Krakowski, a w czasie powstania warszawskiego dowodził 10 Dywizją Piechoty na Mokotowie. W AK otrzymał awans na generała brygady. Po upadku powstania poszedł do niemieckiej niewoli wraz z podległymi mu oficerami m.in. z ppłk "Stefanem" - Bronisławem Banasikiem.

Więzenie śledcze

Na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem 1945 roku wsadzono mnie i Kobyłańskiego do samochodu i odwieziono do więzienia śledczego przy ul. 11 Listopada w Warszawie. Ponury budynek otoczony był podwójnym murem. Wprowadzono nas do środka gmachu i wsadzono do jednej celi, w której było już 6 więźniów - młodych chłopców z Ursusa. Cella była brudna i śmierdząca. Znajdowały się w niej dwie prycze. Więźniowie wyglądali jak cienie. Byli załamani, bowiem trzymano ich tutaj od 5 miesięcy. Głód był niesamowity, gdyż nie dopuszczano do więzienia żadnych paczek.

Skazańcy nie mieli nawet siły chodzić po celi. Siedzieli lub leżeli na pryczach, względnie stali oparci o ścianę. Na spacer nikogo nie wypuszczano. Naczelnikiem więzienia był Żyd Szymanowicz - typ bezwzględny, który siał strach i przerażenie. Jego zastępcą był Stern - łagodniejszy i trochę wystraszony, ponieważ już był postrzelony przez organizację podziemną. Następnego dnia po przyjeździe wściekły naczelnik wpadł do naszej celi. Więźniowie stanęli w dwuszeręgu i jeden z nas zameldował stan obecnych. Szymanowicz po kolei pytał, za co każdy z nas siedzi. Ten, który wymienił swą przynależność do NSZ lub NZW dostawał pięścią w zęby lub był wyciągany na korytarz i tam maltretowany.

Stałem na końcu szeregu, więc i na mnie przyszła kolej. Nie ujawniłem jednak swojej przynależności do organizacji podziemnej, bo widziałem co działo się z poprzednikami. Na szczęście ten parszywy typ nie był długo naczelnikiem, gdyż otrzymał awans i przeniesienie do Ministerstwa Bezpieczeństwa.

Na jego miejsce przyszedł nowy naczelnik - Polak, który przed wojną był szefem więzienia w Łomży (bardzo porządny i uczciwy człowiek).

Wyżywienie było podłe i bez żadnej wartości. Rano pajda mokrego chleba, w południe kociołek zupy z buraków, a wieczorem znowu zupa ze zgniłej marchwi. Jesteśmy brudni, wody prawie nie dają, żadnej zmiany bielizny. Cella aż roi się od wszy, pcheł i pluskiew. Najstraszniejsze są noce. Robactwo nie daje spać, człowiek przewracał się z boku na bok lub siedział i rozpaczał. Nowy naczelnik zdobył kilkanaście kilogramów amerykańskiego środka DDT i rozdzielił na wszystkie cele. Więźniowie wsypywali go sobie nawet do włosów, na ubrania i w szpary prycz. Dzięki temu pozbyliśmy się szybko robactwa.

Do więzienia często dojeżdżał mój śledczy i uzupełniał protokół, śledztwo chciano ukończyć we wrześniu. Dowiedziałem się, że "Lis"-Lewicki - Komendant Okręgu Białostockiego NZW i mój dawny zastępca został aresztowany. Śledczy Sieczko powiedział, iż śledztwo przeciwko niemu będzie się toczyło w trybie doraźnym i na pewno będzie skazany na śmierć i rozstrzelany. Po "Lisie" komendantem został ppłk "Iskra" Zwański, który zorganizował grupy dywersyjne i rozbił wszystkie posterunki milicji, z wyjątkiem Białegostoku i Łomży. Poza tym rotmistrz Łupaszko ze swoją brygadą przybył z terenów Wileńszczyzny, plądrował i niszczył wszystkie urzędnictwa PKWN.

W niedługim czasie przybył do mnie Chalicki w towarzystwie delegata z Ministerstwa Bezpieczeństwa i zaproponował mi współpracę wraz z ujawnieniem wszystkich oddziałów dywersyjnych na terenie Białostoczczyzny. Jeśli się zgodzę, zostanę natychmiast zwolniony z więzienia i otrzymam mandat poselski do Sejmu. Taką samą propozycję złożono Szymonowi Paradowskiemu ze Stronnictwa Narodowego, który oczywiście nie zgodził się na taką propozycję. Ja również nie wyraziłem zgody.

Przebywałem już dość długo w więzieniu i wiedziałem, że w okręgu nikt nie uwierzy w moje dobre intencje. Po wyjściu na wolność mogłem być rozstrzelany przez swoich i w takim przypadku nie byłoby takie dziwne.

Prawie wszyscy związani z moją sprawą zostali również przewiezieni do tego samego więzienia, toteż wkrótce byliśmy ze sobą w kontakcie. W Wigilię Bożego Narodzenia Kobylański otrzymał pierwszą paczkę żywnościową i czystą bieliznę. Radość nie do opisania! Poczęstował wszystkich więźniów z celi i po raz pierwszy od wielu dni mogliśmy zaspokoić głód. Tego samego dnia Kobylański, zupełnie nieoczekiwanie, otrzymał zwolnienie.

Wychodząc z celi oddał mi żywność, jaką jeszcze posiadał i kazał równo podzielić między więźniów. Święta były względnie spokojne. Ze wszystkich cel rozlegały się kolędy. Po świętach władze więzienne zezwoliły na doręczanie paczek i głód stał się przeszłością. W przysyłanych paczkach były papierosy, dzięki którym mogliśmy przekupić strażnika, który na naszą prośbę dawał do celi tego więźnia, na którym nam zależało. Wkrótce w jednej celi byliśmy sami sami. Mogliśmy swobodnie rozmawiać, dzielić się wiadomościami, grać w szachy, śpiewać i wspólnie się modlić. Każdego dnia odmawialiśmy różaniec, a rej w tym wodził Leon Mirecki i Edzio Szczepański.

W tej celi przebywaliśmy razem aż do powtórnego badania w UB, które zostało przeniesione na ul. Sierakowskiego. Zostałem tam odwieziony i przebywałem trzy tygodnie. Dzień w dzień byłem badany przez por. Sieczko i w końcu protokół został przeze mnie podpisany. Moja sprawa została przekazana prokuraturze, zaś ja trafiłem z powrotem do aresztu przy ul. 11 Listopada. A więc czekała mnie jeszcze rozprawa sądowa. Takie sądy składały się z trzech osób: jednego oficera i dwóch ławników - szeregowców. Rozprawy odbywały się chaotycznie, bez żadnego przygotowania prawniczego. Sędziowie, nie zapoznawszy się dokładnie ze sprawą, wydawali wyrok w pośpiechu. Oskarżony był pozbawiony możliwości obrony i zwykle skazywano go, nawet na śmierć. O ile był obrońca, to przeważnie z UB, jak np. kpt. Bandau, który podpisywał karę śmierci.

Dowiedzieliśmy się, że w dniu 1 maja 1946 roku samochód ciężarowy, którym jechali partyjni na obchód do Pułtusza, został ostrzelany przez partyzantów z WiN, w wyniku czego było kilku rannych i zabitych. Przypadkowo wpadł wtedy komendant rejonu Zakrzewski. Dowieziono go do Warszawy i w trybie doraźnym został skazany na śmierć. Przebywał w celi śmierci obok nas. Którejś nocy usłyszeliśmy, jak kazano mu się ubrać, wyprowadzono z celi i w towarzystwie prokuratora, naczelnika i kata Kwiekowskiego, poprowadzono skazanego przez podwórko do furtki w murze. Zdążył krzyknąć: "Niech żyje Polska!" Wszyscy byliśmy przy oknie: ja, Mirecki, Paradowski, Szczepański, Szmidt, Wojtczak i czterech młodych ludzi z ochrony gen. Rzepeckiego.

Rozprawa sądowa

W październiku 1946 roku całą naszą grupę liczącą 14 osób odwieziono samochodem do sądu Wojskowego przy ulicy Górczewskiej w Warszawie. Dużą salę wypełniali przeważnie krewni i znajomi więźniów. Skład sędziowski złożony był z 3 osób: przewodniczącego - majora Krzewskiego i dwóch podporuczników. Z ich lewej strony siedział prokurator - major Lutyński, zaś z prawej - zespół adwokacki: Szulborski, Rettinger, Kierski, Maślanko, Nowogródzki i inni. Po krótkim omówieniu procedury postępowania zaczęto czytać akt oskarżenia dotyczący całej grupy. Po 5 godzinach rozprawy sędzia zarządził przerwę. Nasze rodziny uzyskały pozwolenie na dwugodzinne przebywanie z nami. Dostaliśmy masę bardzo dobrego jedzenia, lecz chyba nikt nie mógł zbyt wiele zjeść z powodu sytuacji, w której się znaleźliśmy. W końcu rozłączono nas i zaprowadzono do ogromnej celi piwnicznej. Spotkałem w niej dwóch mężczyzn, których przewieziono tutaj z więzienia na Mokotowie. Dowiedziałem się od nich, że mój podkomendny - "Lis" Lewicki został rozstrzelany nocą na dziedzińcu więziennym. Jego ciało pochowano potajemnie na cmentarzu bródnowskim.

Następnego dnia w dalszym ciągu odczytywano akt oskarżenia. Do mnie stosował się artykuł 1 Kodeksu Karnego - przynależność do podziemnej organizacji i próba obalenia siłą ustroju demokratycznego. Za te przestępstwa można było otrzymać karę od 5 lat pozbawienia wolności do kary śmierci włącznie. W czasie naszego procesu w prasie ukazał się artykuł opisujący naszą sprawę. Zarzucano nam dążenie do obalenia, drogą przewrotu i terroru, ustroju Polski. Po odczytaniu aktu oskarżenia rozpoczęto przesłuchania świadków. W mojej sprawie zeznawali funkcjonariusze bezpieczeństwa.

Z wolnej stopy odpowiadał tylko Kazimierz Kobylański. Zeznał, że po powrocie z Moskwy i po rozmowie z premierem Osóbką-Morawskim, miał ze mną kilka spotkań i rozmawialiśmy na temat mojego ujawnienia wraz z okręgiem białostockim oraz zalegalizowania się w Stronnictwie Narodowym celem wejścia w skład istniejącego obecnie parlamentu. W sprawie legalizacji stronnictwa - Kobylański powoływał się na poparcie ze strony ambasadora w Moskwie - Modzelewskiego i premiera Polski. Powiedział, że w trakcie tych rozmów zostaliśmy obaj aresztowani. Zeznanie Kobylańskiego zrobiło duże wrażenie na składzie sędziowskim.

Po kilku dniach, po zakończeniu przesłuchania świadków, sędzia udzielił mi głosu. Wiedziałem, że moje życie jest zagrożone i nie mając już nic do stracenia postanowiłem wystąpić z mową skierowaną do sądu i do osób będących na sali. Powiedziałem m.in. "

...Od chwili mego wstąpienia do organizacji podziemnej aż do nadejścia frontu wschodniego, walczyłem z bronią w ręku z okupantem hitlerowskim. Zakładałem konspiracyjne szkoły wojskowe. Zrealizowałem rozkaz Komendy Głównej AK, dokonując wyłomu w linii frontu i ułatwiając wojskom sowieckim przeprawę przez rzekę Narew. W rezultacie tej akcji moi żołnierze zostali rozbrojeni i zamknięci w obozie w Dojlidach. Pozostali żołnierze poszli w rozsypkę albo zeszli do podziemia. Był to rezultat posunięć nowej władzy. NKWD ścigało nas i zamykało do więzień...Badali mnie Polacy, którzy nie umieli mówić po polsku. Tu na sali jest kapitan w polskim mundurze, który w czasie aresztowania był w mundurze sowieckim, w stopniu majora. Współoskarżeni mogą potwierdzić, że stosowano wobec nas różne represje: bito nogą od stołu po nerkach, duszono, przeprowadzano mistyfikację wyroku śmierci...My, Polacy, którzy walczyliśmy z okupantem hitlerowskim, nie powinniśmy siedzieć w więzieniach. Dość już cierpieliśmy w czasie wojny."

Mówiłem przeszło godzinę. Na sali rozpraw słyhać było czasami rozpaczliwe: "O Boże, Boże!" Ludzie płakali, a i ja byłem mocno wzruszony. Po zakończeniu mojego przemówienia sędzia zarządził przerwę. Prawie wszyscy obecni rzucili się na mnie. Jedni gratulowali wystąpienia, inni ściskali mnie, jeszcze inni tylko płakali. Niedługo po wznowieniu rozprawy, w trakcie wystąpienia Jana Szmida, na salę wpadł woźny i zameldował sędziemu, że przyjechał gen. Marian Spychalski - wówczas szef Informacji Wojskowej. Po rozmowie ze Spychalskim, sędzia zarządził odroczenie rozprawy na 3 dni. Chociaż na sali znajdowała się pokaźna liczba dziennikarzy, w żadnej gazecie nie znalazła się nawet wzmianka o naszym procesie, a znając metodę tzw. procesów pokazowych tak właśnie powinno być. Domyślałem się, że to skutek mojego wystąpienia. Proces wznowiono dopiero po upływie tygodnia. Wtedy zgłosili się do mnie dwaj adwokaci: Rettinger i Maślanko i oświadczyli, że chcą być moimi dodatkowymi obrońcami i będą pracować bez wynagrodzenia. W swoim wystąpieniu ten ostatni wyniósł mnie prawie do godności bohatera narodowego. Nic to nie pomogło, bowiem prokurator zażądał dla mnie kary śmierci. W ostatnim słowie zarówno ja, jak i moi koledzy oświadczyliśmy, że jesteśmy niewinni i prosimy o wypuszczenie nas z więzienia. Kiedy po zakończeniu rozprawy odstawiono mnie do toalety, na korytarzu zatrzymał mnie jeden z sędziów i powiedział, żebyśmy byli spokojni, bo dadzą mi tylko 10 lat.

I rzeczywiście, w czasie odczytywania wyroku usłyszałem, że Mieczysław Ostrowski (posługiwałem się wtedy takim nazwiskiem) został skazany na 10 lat pozbawienia wolności z artykułu 1 KK. Wchodzący w skład naszej grupy: Czesław Lisik i Zygmunt Krajanowski zostali skazani na karę śmierci. Od razu zabrano ich z sali sądowej i odwieziono do celi śmierci w więzieniu na ulicy 11 Listopada w Warszawie.

Inni współoskarżeni otrzymali wyroki znacznie mniejsze - od 1 do 3 lat pozbawienia wolności, z zaliczeniem aresztu śledczego.

Tak wyglądał prolog dalszych wydarzeń, które mnie bezpośrednio dotyczyły. W uzasadnieniu wyroku Wojskowy Sąd Rejonowy podał następujące ustalenia dotyczące mojej osoby (cytat na podstawie wyciągu z wyroku z dnia 21 października 1946 roku):

Niepoślednią w nich rolę odegrał tam oskarżony Ostrowski Mieczysław, pseudonim "Miecz", a później "Ostromir"; w stopniu majora, który będąc aktywnym członkiem Narodowej Organizacji Wojskowej za czasów okupacji jako Komendant Okręgu Białostockiego, w porozumieniu z Delegaturą Rządu Londyńskiego i Komendantem Głównym NOW wszczął w sierpniu 1944 roku tzw. akcję "Burza", mającą za zadanie udzielenie czynnej pomocy zbrojnej nacierającej Armii Czerwonej, wprowadzając do tejże akcji podległe sobie oddziały wojskowe. Po uwolnieniu terenów oskarżony Ostrowski pragnął wraz ze swoimi oddziałami ujawnić się, lecz w międzyczasie został aresztowany przez władze NKWD, od których jednak zdołał zbiec.

Oskarżony Ostrowski również został wciągnięty na listę do ujawnienia przez Delegata Rządu Londyńskiego Przybyszewskiego, lecz w związku z aresztowaniem tego ostatniego w drugiej połowie sierpnia 1944 roku dał rozkaz podległym sobie oddziałom do pozostania w konspiracji, sam kontaktując się z ówczesnym wicedelegatem Rządu Londyńskiego "Bożymirem" oraz Komendantem AK Okręgu Białostockiego "Mścislawem", od którego kilkakrotnie na cele organizacyjne otrzymywał kwoty 500 dolarów. Po oswobodzeniu Warszawy oskarżony Ostrowski udał się tamże, gdzie nawiązał kontakt z Szefem Sztabu NOW "Kubą" i Szefem Organizacyjnym Komendy Głównej tejże organizacji "Romanem", od którego dowiedział się o fakcie połączenia się dwóch organizacji NOW i NSZ w jedną całość pod nazwą Narodowe Zjednoczenie Wojskowe.

Jego władze poleciły mu ogłosić rozkaz na podległym sobie terenie. Przy tej okazji obaj przełożeni oskarżonego poinformowali go o rozmowach przedstawiciela delegata Rządu Londyńskiego i stronnictw politycznych z czynnikami wojskowymi Armii Czerwonej. W związku z tym zalecono nie prowadzić żadnej akcji przeciwko członkom wspomnianej armii. Ponadto polecono oskarżonemu utworzyć na swoim terenie szkoły podchorążych i podoficerów, aby mogli w nich znaleźć schronienie ludzie ukrywający się i ścigani przez władze bezpieczeństwa. Po powrocie na teren białostocki oskarżony wykonał powyższe polecenie, wydając rozkaz o połączeniu NOW i NSZ oraz tworząc kilka szkół podchorążych i podoficerskich.

W międzyczasie oskarżony, mając ustaloną łączność z Rządem Londyńskim, odebrał komunikat od Pragiera o konieczności dalszego wyczekiwania wobec nie wyjaśnionej w dalszym ciągu sytuacji międzynarodowej i w związku z tym udał się oskarżony do Warszawy, gdzie skontaktował się z Komendantem Głównym NZW "Kubą", który w rozmowie wyjaśnił mu konieczność szukania wyjścia z wynikłej sytuacji, zalecając przejście z aktywności wojskowej na robotę polityczną, w pierwszym rzędzie - rozwiązanie konspiracyjnych szkół podchorążych i podoficerskich. W wykonaniu powyższego po swoim powrocie do Białegostoku wydał rozkaz do komendantów obwodowych o rozwiązaniu szkół o charakterze wojskowym po uprzednim przeprowadzeniu egzaminów, a ponadto szefowi organizacyjnemu porucznikowi "Dunajewskiemu" polecił umieścić ludzi z rozwiązanych szkół w bezpiecznym miejscu na terenach zachodnich lub w wyższych uczelniach. Przed tym jeszcze oskarżony będąc w Warszawie ustalił w Komendzie Głównej punkt, na którym tych ludzi należy kierować. Spośród uczniów rozwiązanych szkół wojskowych wymienić należy oskarżonych Krajanowskiego i Lisika, których oskarżony Ostrowski przyjął za pośrednictwem oskarżonego Majewskiego w końcu maja 1945 r. do do oddziału leśnego pod dowództwem "Puchacza".

W miesiącu sierpniu 1945 r. oskarżony Ostrowski zetknął się z szefem propagandy oskarżonym Szmidem, który powiadomił go o utworzeniu przez członków Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego Komitetu Legalizacyjnego, zmierzającego do zalegalizowania stronnictwa, tudzież przeprowadzenie członków organizacji wojskowej. W związku z powyższym oskarżony Ostrowski, chcąc uchwycić kontakty z tym komitetem, zetknął się we wrześniu 1945 r. z jednym z jego członków oskarżonym Paradowskim, który przyrzekł mu wciągnięcie na listę członków komitetu oraz jednoczesne skontaktowanie z członkami SN - Kobyłańskim. Oskarżony Paradowski zalecił w związku z tym wydanie rozkazu wstrzymania na terenie białostockiej pracy konspiracyjnej oraz rozwiązywania oddziałów wojskowych, nosząc się z zamiarem ujawnienia jak największej liczby członków NZW.

Oskarżony Ostrowski na propozycję Komendanta Głównego przyjął funkcję Komendanta Obszaru, obejmującego 3 okręgi, aby w ten sposób doprowadzić do ujawnienia całego obszaru. Wkrótce po tym zetknął się z oskarżonym Mireckim, będąc przez niego poinformowanym o przyjęciu go w poczet Komitetu Legalizacyjnego. W dniu 8 października 1945 r. odbył oskarżony Ostrowski jeszcze jedną rozmowę z Kobyłańskim i miał się porozumieć z Komendantem Okręgu Białostockiego "Lisem" w sprawie rozpoczęcia akcji ujawniania na terenie białostockiej, lecz przybywszy w dniu 10 października na to spotkanie został zatrzymany przez władze bezpieczeństwa. W przededniu aresztowania zetknął się jeszcze przypadkowo ze swym znajomym z czasów okupacji - Niklewiczem, swym byłym łącznikiem z Komendą Główną NOW.

Należy nadmienić, iż w ciągu swej działalności w WZW oskarżony Ostrowski czytał tudzież rozsyłał w teren nielegalną prasę pt. "Głos Ziemi Białostockiej" i "Walkę", którą otrzymywał od Delegata Rządu Londyńskiego "Bożymira", Komendanta AK oraz z Komendy Głównej NOW. W celu zakonspirowania swej osoby posługiwał się w tym czasie fałszywym dokumentem na nazwisko Sosnowski Mieczysław, a który to posiadał jeszcze za czasów okupacji.

W tym charakterze nie rejestrował się w RKU, mimo iż był oficerem rezerwy w stopniu majora. Przewód sądowy wykazał również, że oskarżony Ostrowski jako Komendant Okręgu Białostockiego wydawał podległym sobie oddziałom rozkazy, jak np. nr 1615, 1623, 1632, zalecając likwidowanie ludzi będących na usługach władz bezpieczeństwa, ze strony których mogło grozić członkom organizacji niebezpieczeństwo denuncjacji. Dotyczyło to tylko byłych konfidentów gestapo, którzy z chwilą wyzwolenia terenów od okupacji przeszli na taką współpracę z władzami bezpieczeństwa. Stwierdzono również, iż oskarżony jakkolwiek pełnił funkcje Komendanta Okręgu, a później Obszaru, to jednak nie miał wpływu na tzw. "Pogotowie Akcji specjalnej" na terenie swego okręgu, bowiem to podlegało bezpośrednio Komendzie Głównej NOW i NZW.

Przewód sądowy nie dostarczył jakiegokolwiek dowodu, aby w wyniku stosowania powyżej wzmiankowanych rozkazów został zlikwidowany ktokolwiek z działaczy demokratycznych. Po dwóch tygodniach pobytu w więzieniu zjawił się adwokat Szulborski i zakomunikował mi, że prokurator sprzeciwił się mojemu wyrokowi i będę miał wznowioną rozprawę. To był mocny cios. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1947 minęły spokojnie. Ci koledzy, którzy mieli niskie wyroki opuścili więzienia. Szczęśliwcy! Na początku tego roku odbyły się wybory do parlamentu, w wyniku których do rządu wszedł Mikołajczyk - premier rządu emigracyjnego. Mówiło się wszędzie, w celach i na widzeniach, że będzie wydana ustawa amnestyjna, ale nie będzie mnie dotyczyła, ponieważ mój wyrok został zaskarżony przez prokuratora. I rzeczywiście - w marcu 1947 r. przybyła karetką więzienna i zostałem odwieziony na rozprawę sądową. Zostałem skazany na karę śmierci. Na moją prośbę adwokat Szulborski wystąpił przeciw temu wyrokowi, bo zastosowano art. 225 KK, mówiący o zabójstwie. Ten artykuł nie podlegał pod amnestię. W moich aktach nie było żadnej wzmianki, abym wydawał wyroki śmierci na komunistów. Również ten wyrok został unieważniony.

Moje życie ciągle wisiało na włosku. Minęły jeszcze 2 miesiące. W czerwcu 1947 r. stanąłem po raz trzeci przed Sądem Wojskowym w Warszawie, przy ulicy Koszykowej. Rozprawa odbyła się w maleńkim pokoiku, bez udziału publiczności. Oprócz składu sędziowskiego, któremu przewodniczył mjr Abramowicz, obecny był tylko ja i adwokat Szulborski. Rozprawa trwała tylko pół godziny. Zostałem skazany na karę śmierci z art. 3 nowego kodeksu karnego za przynależność do organizacji i dążenie do obalenia ustroju Polski Ludowej. Ponieważ ten artykuł podpadał pod amnestię, kara śmierci została mi zamieniona na 15 lat więzienia. Po dwóch tygodniach wyrok sądu był prawomocny.

W więzieniu we Wronkach

We wrześniu 1947 r. więzienie karno - śledcze na ulicy 11 Listopada obiegnęła wieść, że w najbliższych dniach ma odejść transport więźniów do Wronek. I faktycznie, po kilku dniach wywoływano nazwiska więźniów z cel i kazano stawić się na placu więziennym. Wśród wyczytanych było również moje nazwisko, a także Lisika i Krajanowskiego, którym dzięki adwokatowi Kierskiemu zamieniono karę śmierci na 15 lat więzienia.

Na placu stało w jednym szeregu około 50 więźniów. Rewidowano nas i wydawano produkty na drogę. Całość nadzorował inspektor więzienny z Urzędu Bezpieczeństwa.

Po wyczytaniu mojego nazwiska, kazał mi wystąpić i ironicznie powiedział, że tam sobie odpocznę i zapomnę, co się działo w tym więzieniu. Nic nie odpowiedziałem. Pomyślałem tylko, że do mojej sprawy jest przyczepiona specjalna opinia, która będzie za mną szła. Na zakończenie przeglądu ten sam inspektor zapytał, czy ktoś ma prośby lub zażalenia. Na te słowa wystąpiłem i powiedziałem, że zostałem okradziony przez poprzedniego naczelnika Szymanowicza, który pozbawił mnie pióra wiecznego Waterman i skórzanej teczki.

Niejednokrotnie meldowałem o tym obecnemu naczelnikowi. Inspektor spojrział na naczelnika, który skinieniem głowy potwierdził moje słowa.

Załadowano nas do karetki więziennej, w której jeden z ubowców zakuł tylko mnie w kajdany, co wywołało wielkie zdziwienie wśród pozostałych więźniów. Na stacji kolejowej przeładowano nas do wagonu - więźniarki. Jechaliśmy całą noc. Nie było mowy o spaniu, bowiem było bardzo duszno z powodu zamkniętych i zakratowanych okienek. Po przyjeździe na miejsce nasz wagon odczepiono od składu i podstawiono na bocznice, tuż przy samym więzieniu. Więzienie składało się z dużego budynku z czerwonej cegły w kształcie litery T oraz dwóch pojedynczych - czteropiętrowych. O godzinie ósmej wyprowadzono nas z więźniarki i pod strażą doprowadzono na plac przed wejściem. Wkrótce zjawili się funkcjonariusze i naczelnik. Rozebrano do i przeprowadzono dokładną rewizję. Zabierano nasze noże, łyżki, karty do gry, szachy. Zamiast naszych ubrań dostaliśmy stare, podarte i cuchnące poniemieckie rzeczy, zaś na nogi - drewniaki. Kazano nam biec żelaznymi schodami na czwarte piętro. Po drodze dostawaliśmy kopniaki i razy batami. Ja szczęśliwie dostałem tylko dwa uderzenia po plecach. Natomiast więzień Rożek dostał tak silnie w okolicach krzyża, że nie mógł chodzić przez kilka miesięcy.

Na czwartym piętrze zamknięto nas po ośmiu w celach. Więźniowie byli wystraszeni i całkowicie załamani na duchu. Tu już nie było żadnej nadziei. Wszyscy byli brudni i do siebie niepodobni w tych łachmanach. Po podróży nie dano nam nawet wody do umycia się. Dostałem drewniane trepy bez cholewek, onuce odwijają się, nie mogę sobie dać z nimi rady. Spodnie z grubego drelichu, z pięcioma dużymi łatami. Marynarka jest też z szarego drelichu i na dodatek bardzo szczupła. Na głowie miałem pasiastą czapkę bez daszka. To wszystko po więźniach z okresu hitlerowskiego. W mojej celi znajdowali się jeszcze Książd Stefański, ksiądz Jarkiewicz, Rożek (później dostał pomieszczenia zmysłów) i jeszcze kilku innych, których nazwisk nie pamiętam.

Na śniadanie dano nam pajdę czarnego chleba i kawę - lurę. Na obiad dostaliśmy krupnik zamieszany mąką i zaprawiony olejem, wieczorem była zupa z brukwi.

Przez osiem lat dostawaliśmy te same posiłki, z tą różnicą, że zamiast brukwi dawano zupę z buraków lub marchwi. Ziemniaków prawie nie widywaliśmy, chyba, że w czasie wielkich świąt. Po śmierci Stalina, kiedy poprawiły się warunki w więzieniach, w dni świąteczne była grochówka lub ziemniaki z sosem. Każdego dnia odbywało się tzw. kiblowanie - rano i wieczorem. W rogu celi stał żelazny pojemnik, do którego na oczach wszystkich współwięźniów, należało załatwiać potrzeby fizjologiczne. Było to ogromnie deprymujące i przykre. W celi nie wolno było zbyt głośno rozmawiać i śpiewać. Za taki przewinienia wsadzano do karceru na 12 lub 24 godziny. W karcerze była tylko betonowa prycza. Okienko zakratowane i przeważnie otwarte. Przebywanie w nim w trakcie zimy stanowiło największą dolegliwość. Na przestrzeni 8 lat byłem karany karcerem aż dwadzieścia kilka razy, przeważnie zimą. Przebywałem tam zupełnie nagi. Spacerowały się co drugi dzień lub rzadziej. Zależało to często od humoru oddziałowego. Taki spacer trwał 15 minut.

Trzeba było biec w obie strony do spacerniaka. Nikt nie odważył się temu sprzeciwić, bo czekał na niego albo karcer, albo pobicie. Postrachem więźniów byli przodownicy: Krzewina, Rzepecki, Kominek, Serwata i tzw. "Krwawy Mietek" (nazwiska nie pamiętam). Na każdym kroku ubliżali więźniom, wyzywali najgorszymi słowami i bili gdzie popadło. Pewnego dnia mając grypę nie chciałem iść na spacer. Doskoczyło do mnie "Krwawy Mietek" i uderzył mnie pięścią w twarz. Zalałem się krwią, ale na spacer i tak musiałem pójść.

Pewnego dnia w czasie spaceru podszedł do mnie więzień Okulicz, który powiedział, że zna mnie z Warszawy. Ostrzegł, że w każdej celi są szpicle i radził, abym był powściągliwy w swoich wypowiedziach. Po kilku dniach zabrano z naszej celi dwóch księży i Rożka, a na ich miejsce przysłano trzech nowych. Było pewne, że są to kapusie. Prowokatorów od razu można było odróżnić od zwykłych więźniów. Mówili o wszystkim bez żadnych zahamowań, starali się sprowokować nasze wypowiedzi.

Poza tym na korytarzach pracowali tzw. kalifaktorzy. Byli zaufanymi władzy więziennej. Musieli interesować się wszystkim i donosić. Któregoś dnia, w czasie kiblowania, wpadł do celi Łeda - Szela i zaproponował mi wspólną celę, aby uczyć się języków obcych. Później dowiedziałem się, że należał do Batalionów Chłopskich, do grupy pułkownika Kamińskiego. Po pewnym czasie stwierdziłem, że był to człowiek wyjątkowo nieuczciwy i super - kapo. Po kilku dniach od jego propozycji oddziałowy kazał mi się pakować i zaprowadził do celi, w której Łeda - Szela, Roslan i jakieś niewyraźne indywiduum z podwarszawskich Włoch.

Zdziwiło mnie to, że mieli książki i gazety, podczas gdy w innych celach można było o tym najwyżej pomarzyć. Na początku byli dla mnie bardzo uprzejmi, nie kazali mi nic robić ani w celi, ani na korytarzu. Nawet w rozmowie też byli powściągliwi, a i ja byłem ostrożny w wypowiedzaniu się na temat sytuacji politycznej oraz dawnych walk w podziemiu i działalności dywersyjnej. Upłynęło 6 tygodni, a oni nic ode mnie nie wyciągnęli. W końcu przypuścili na mnie szturm, próbując się czegoś dowiedzieć, jednak byłem głuchy na ich nagabywania. W końcu nerwowo nie wytrzymałem i powiedziałem, że daremny jest ich wysiłek w szpiclowaniu mnie i że czuję tylko wstręt do nich. Zrobili mi awanturę, naubliżali od faszystów. Podskoczyłem do drzwi i spuściłem klapę. Wszedł oddziałowy. Poprosiłem go o przeniesienie do innej celi, bo nie chcę siedzieć z kapusiami.

Po kilku godzinach od awantury w celi znalazłem się w pojedynce, w skrzydle D więzienia we Wronkach. Następnego dnia przodownik Krzewina zaprowadził mnie do pustej celi, w której odbywały się przesłuchania więźniów - kapusiów. Zaraz pojawiło się trzech opryszków: Łeda - Szela, Roslan i Hofman. Rozpoczęli badania. Odmówiłem udzielania odpowiedzi na zadawane przez nich pytania. Podali się za oficerów UB w mundurach więziennych i oświadczyli, że zmuszą mnie do mówienia i muszę wydać ludzi należących do podziemia, składy broni i archiwum konspiracyjne. Oświadczyłem, że jestem po wyroku i nie będę z nimi rozmawiał. Wtedy Roslan rzucił się na mnie a Łeda - Szela chwycił mnie za gardło.

Zacęli mnie dusić. Jakoś wyrwałem się, uderzyłem Rosłana pięścią w twarz, jednak trzech bandziorów skrępowało mnie. Zostałem zбитy prawie do utraty przytomności.

Zdołałem jeszcze głośno krzyknąć. Po chwili drzwi się otworzyły i przodownik Krzewina nakazał wracać do celi. Na korytarzu krzyczałem, że banda oprychów chciała mnie zamordować.

Wymieniałem nazwiska oprawców. W ten sposób próbowałem uświadomić pozostałym więźniom, aby mieli się na baczności. Gdy ochłonąłem poprosiłem o widzenie z naczelnikiem. Upłynęło kilka godzin. Do mojej celi przybył nie naczelnik Bohowola, lecz kierownik polityczno - wychowawczy Grzegorzewski. Zameldowałem się i powiedziałem, co stało się w celi. Spytałem też dlaczego nie otrzymuję książek i gazet. W Warszawie mówiono mi, że we Wronkach będę miał do tego dostęp. Jednak rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Grzegorzewski rozkazał wsadzić mnie do karceru. Było to ciemne i zimne miejsce. W samej bieliźnie, na betonowej pryczy, spędziłem 24 godziny. Dopiero później zaprowadzono mnie do celi, małego pomieszczenia 2x4 metry. Znajdował się w nim stolik, krzesło, metalowe łóżko i kibel. Siennik był podarty, wysypywała się z niego sieczka, słoma nie była zmieniana pewnie od czasów hitlerowskich. Noce są straszne, zimne i ponure. Do przykrycia miałem tylko jeden i to mocno dziurawy koc. Nędzne ubranie i drewniaki należało wystawiać za drzwi. Nigdy nie zapomnę tych nocy, które na przestrzeni 10 lat przyszło mi spędzić w więzieniu.

Nadszedł dzień Wigilii Bożego Narodzenia - mój pierwszy we Wronkach. Spędziłem go sam, w zimnie i o głodzie. Na kolację otrzymałem porcję zupy ze zgniłej marchwi, która wraz z pozostawionym ze śniadania kawałkiem chleba stanowiła moją kolację wigilijną. Długo nie mogłem zasnąć, rozmyślałem o swoim nieszczęsnym losie. W dzień Bożego Narodzenia zaczęto doręczać paczki żywnościowe.

Nie pozwolono na wydanie nam ciepłej odzieży. Stałem przy drzwiach i nasłuchiwałem jak oddziałowy wyczytywał nazwiska poszczególnych więźniów. Wkrótce pojawiło się moje nazwisko. Przy wydawaniu szczegółowo penetrowano zawartość paczek. Niechby znalazł się tam jakiś gryps - paczka natychmiast zostałaby skonfiskowana. Wróciłem do celi zadowolony. W paczce dostałem duży bochen chleba, placek, boczek, kiełbasę, cebulę i słodycze. Natychmiast zabrałem się do jedzenia. Nareszcie mogłem się nasycić do woli. Od razu poprawił mi się humor i po cichutku zaśpiewałem kolędę poznaną jeszcze w warszawskim więzieniu:

Hej kolęda we Wronkach kolęda, jasna luna z nieba.
Hej kolęda we Wronkach kolęda, kęs czarnego chleba.
Między nas Pan Jezus wszedł, na więziennym stołku siadł.
Między nas Pan Jezus wszedł, czarny chleb z nami jadł.
Hej kolęda we Wronkach kolęda - Anioły, pasterze.
Hej kolęda we Wronkach kolęda, zimna noc w karcerze.
Między nas Pan Jezus wszedł i w karcerze z nami był.
Między nas Pan Jezus wszedł i więzienny numer szył.
Hej kolęda we Wronkach kolęda, królów hołdowanie.
Hej kolęda we Wronkach kolęda, o wolność błaganie.

Między nas Pan Jezus wszedł, skinie rączką swą Bożą.
Między nas Pan Jezus wszedł, wszystkie drzwi się otworzą.

Tak minęły święta Bożego Narodzenia i nowy rok 1948. Zacząłem przypominać sobie historię starożytną, średniowieczną i nowożytną. Odtwarzałem wszystko z pamięci i nie chcąc, aby mi to "uciekło" wypisywałem gwoździkiem na ścianie daty i główne wydarzenia historyczne. Co kilka dni powtarzałem wszystko ze ściany i dalej skrobałem. W końcu cała ściana była zapisana. Złapano mnie jednak na tym procederze i wsadzono do karceru na 24 godziny. Po kilku tygodniach znów siedziałem w karcerze, tym razem za to, że zdobyłem papierowy worek i brałem go do spania pod koc. Rewizje w celach przeprowadzano regularnie co miesiąc.

Więźniów rozbierano do naga, wyrzucano medaliki, różańce, guziki, szmatki i inne znalezione drobiazgi. Mnie zabrano łańcuszek z medalikiem, różaniec zrobiony z chleba i Pismo Święte w przekładzie księdza Wujka - prezent od Leona Mireckiego. Trzymałem je w sienniku przez parę lat.

W pojedynczej celi siedziałem około 10 lat. Parę razy kierowano mnie do celi ogólnej, w której przebywało około 5 więźniów. Przyjemnie było znowu znaleźć się wśród ludzi, chociaż należało uważać na każde słowo, bo często umieszczano tam szpicli. Za byle co konfiskowano paczki i wsadzano do karceru. I tak płynął czas, a los więźnia był jednakowy, nic się w jego życiu nie zmieniał. Zmieniały się tylko cele i ludzie. Na przestrzeni 10 lat spotkałem ludzi o wysokich walorach moralnych, np. prof. Gorzuchowskiego (zmarł), Halskiego, Grendę (amputowano mu nogę), Jana Kota, Michała Probocha i Stefana Ralskiego. W czasie wojny w Korei (1950 r.) we Wronkach było wielkie prześladowanie i wykańczanie więźniów. Płk. Abakanowicz odebrał sobie życie skacząc z IV pietra. Płk. Lipiński, były adiutant gen. Kukieła, powiesił się, chociaż ta wersja wzbudzała wiele niejasności i według informacji, jakie do mnie dotarły został powieszony w celi. Wiele osób, przeważnie tych, które przebywały w pojedynkach, dostały pomieszania zmysłów i odsyłano je do szpitali dla psychicznie chorych.

Jeszcze innym sposobem na wykończenie więźniów było umieszczanie 20 osób w celach sześciuosobowych. W niesamowitym tłoku i ścisku trzymano ich w miesiącach letnich. Nie było mowy o siedzeniu i leżeniu, nie dawano nawet wody do picia. Przebywałem w takiej celi 3 miesiące.

Każdy z nas był nerwowo wyczerpany i niejeden dostał ataku serca. W październiku umieszczono nas w II pawilonie więzienia, tzw. pawilonie śmierci. Tam kazano rozbierać się do naga i zamykano do pojedynek o wymiarach 2x4 metry. Oddziałowy Kominek kazał oblewać nas kilka razy dziennie zimną wodą. Również noce spędzaliśmy nago, siedząc na zimnym betonie. Trwało to 6 tygodni. Każdy z nas był chory na grypę lub miał wrzody. Lekarza nie wpuszczano. Ksiądz Jarkiewicz miał zapalenie płuc, potem wywiązały się suchoty i po 3 miesiącach zmarł bez żadnej opieki lekarskiej. W końcu założyłem głodówkę, aby zaprotestować przeciwko tyranii władz więziennych. Zmuszano mnie siłą do jedzenia, jednak nie przerwałem głodówki. Znowu nagiego wsadzono mnie do karceru, gdzie przebywałem przy otwartym oknie, w temperaturze poniżej zera. Po 24 godzinach wyniesiono mnie sztywnego do pojedynczej celi i złożono na sienniku. Przerwałem głodówkę. W wyniku przebywania na zmianę w gorących i zimnych celach, utworzył mi się wrzód na siedzeniu, który co kilka dni, po pęknięciu, formował mi się na nowo. Ogromnie cierpiałem, nie mogłem ani chodzić, ani siedzieć. Dzięki lekarzowi Pierchale, również więźniowi, dostałem się do izby chorych. Wreszcie mogłem porządnie się wypaść! I to w ciepłe. Szpital więzienny był pod opieką lekarza chirurga Wierzbickiego, który dojeżdżał z Poznania 2 razy w tygodniu. W czasie wizyty stwierdził, że trzeba u mnie dokonać operacji na tzw. fistulę, ale dopiero po wygojeniu wrzodów na nogach i na rękach.

Operacja odbyła się w najlepszym porządku i po kilku tygodniach zostałem przeniesiony do pojedynczej celi na bloku D.

W więzieniu w Strzelcach Opolskich

Upłynęło sporo czasu i nadszedł 1953 r. W marcu, w nocy zostałem obudzony i doprowadzony do gabinetu zastępcy naczelnika. Po drodze rozmyślałem, czego oni znowu chcą ode mnie, może nowe prowokacje lub męczarnie. Czuję, że dalej już nie wytrzymam, byłem u kresu swych sił i postanowiłem, że w razie dalszych tortur, popełnię samobójstwo, stłukę żarówkę i podetnę sobie żyły. W gabinecie, za biurkiem siedział polityczny. Zameldowałem się. Kazał mi usiąść. Wyjął gazetę z szuflady biurka i długo przyglądał się zdjęciu. Było to zdjęcie Stalina w trumnie. Zauważyłem to, mrowie przeszło mi po skórze. Wprost nie mogłem uwierzyć, że to już koniec tyrana.

Od razu pomyślałem, że na pewno będą zmiany na lepsze, nie tylko w więzieniu, lecz i w Polsce. W końcu polityczny zapytał mnie, co sądzę o tym. Pokazał mi oficjalnie gazetę ze zdjęciem. Odrzekłem, że nie wiem, nie mam zdania i nie orientuje się w tych sprawach, ponieważ od kilku lat siedzę w więzieniu, nie miałem nigdy prasy. Polityczny powiedział mi, że miejsce Stalina zajął Malenkov.

- Jakie jest wasze zdanie?- No cóż, odpowiedziałem, samo nazwisko mówi za siebie, będzie to człowiek o miernych zdolnościach.- Macie rację- powiedział. I wtedy zauważyłem łzy w jego oczach. Poprosiłem o gazetę, dał mi ją. Odmeldowałem się i wróciłem do celi. Rozpierała mnie dosłownie ta wiadomość. Obok mnie siedział ks. Czajkowski, a w następnej celi ks. Tomasz Roztworowski, dalej Kazimierz Kobylański. Dałem niezwłocznie sygnał morsem, że Stalin nie żyje. Ksiądz potwierdził odbiór i przekazał wiadomość dalej. Za godzinę we wszystkich skrzydłach więzienia rozległo się pukanie.

I w rzeczywistości, od śmierci Stalina radykalnie zmieniło się w więzieniu. Po kilku tygodniach można było dostać: chleb, słoninę, smalec i cebulę. Nastąpiła nowa władza więzienna, bo naczelnik i kierownik polityczny wyjechali do innego więzienia, aby po sobie zatrzeć ślady stosowanych tortur i mordów. Oddziałowi przychodzili do cel i pytali więźniów jak się czują. Pozwalano otrzymywać paczki co dwa tygodnie i zezwolono na pisanie listów.

Pojedynki opróżniły się, zebrano nas do cel ogólnych, gdzie były już książki i gazety. Spacerowały się regularnie, nie kazano biegać po schodach i chodzić kaczym chodem. Karcery były puste. Więźniowie mogli głośno rozmawiać, a nawet po cichu śpiewać. W każdym razie osiem koszmarnych lat było za nami.

W 1955 roku zjawiała się komisja lekarska w towarzystwie władz więziennych i badano zdrowie poszczególnych więźniów, aby ich wysłać do kamieniołomów na roboty. Dużo więźniów zgłosiło się dobrowolnie, ja broniełem się jak tylko mogłem, ponieważ nie czułem się dobrze. Mimo mojego oporu zostałem wciągnięty na listę i wysłany na roboty do kamieniołomów w Strzelcach Opolskich. Transportowano nas do kamieniołomów więźniarką kolejową, w upalny dzień sierpniowy. Podróż trwała dość długo i była bardzo męcząca. Więźniarkę odczepiono w Strzelcach Opolskich, na bocznicę przeładowano nas do samochodów i odwieziono do obozu.

Obóz był ogromny, liczący ponad 1200 więźniów, umieszczonych w drewnianych barakach. Całość była otoczona zasiekami z drutu kolczastego, a po rogach wybudowano wieżyczki, w których pełnili służbę strażnicy, uzbrojeni w karabiny maszynowe. W obozie można było poruszać się swobodnie i nikt nie był skrępowany, nie obowiązywały specjalne rygory, oczywiście oprócz pracy. Więźniowie pracowali na trzy zmiany, po 8 godzin na dobę. Za pracę płacono grosze, wystarczyło tylko na zakup papierosów i tłuszczu. Jedzenie było znośne, a nawet dobre w porównaniu z Wronkami. Dawano duże ilości, szczególnie masę gotowanego dorsza. W pierwszym dniu w obozie zjadłem chyba ponad 2 kg tego przysmaku. Dorsz był bardzo słony, myślałem, że pęknię od picia wody, więc już nie odważyłem się go jeść.

Kamieniołomy znajdowały się kilometr od obozu. Następnego dnia po przyjeździe, zaprowadzono nas na miejsce pracy i kazano ładować na wózki wielkie bryły kamienia.

Niektórzy więźniowie wysadzali dynamitem skały, inni ładowali na wózki, jeszcze inni wypychali wózki po szybach z kopalni. Szczepiono ja razem i przy pomocy wyciągu odsyłano na rampę. Tam z kolei, więźniowie ładowali cenny materiał do wagonów, Jednym słowem praca była bardzo ciężka i wymagała wielkiego wysiłku. Norma - 20 wózków ładowania obowiązywała każdego więźnia.

Na mojej zmianie potrafiłem naładować tylko 10 wózków tego kamienia. Więcej nie mogłem. Niektórzy więźniowie silni i zdrowi wyrabiali nawet ponad normę. Po dwóch tygodniach bolały mnie mięśnie, a w szczególności miałem duże bóle w okolicy krzyża. Praca była ponad moje siły i spowodowała, że jeszcze po 20 latach odczuwam silne bóle. W wyniku tych przeżyć nastąpiło u mnie zwyrodnienie całego kręgosłupa, a szczególnie kręgow łędźwiowych.

Zwróciłem się z prośbą o przydział do innej pracy. Za 100 papierosów oberwieżeń skierował mnie do pchania wózków. Pchałem te wózki przez 3 tygodnie, aż mi żyły trzeszczały. W końcu odmówiłem chodzenia do pracy. Skierowano mnie do lekarza, który napisał notatkę, że jestem zdrowy i mogę pracować. Powtórnie kategorycznie odmówiłem pracy, ponieważ była ona ponad moje siły i czułem, że długo nie pociągnę. To jednak w myśl rygorów więziennych był bunt z mojej strony. Wsadzono mnie zatem na kilka dni do aresztu obozowego, gdzie profosem był Hofman, kapuś z Wroniek, były żandarm niemiecki. Chciał się na mnie przy okazji odegrać, ponieważ mówiłem wszystkim o jego wyczynach we Wronkach. Skończyło się tym, że po pewnym czasie więźniowie, którym dawał się w znaki, zabili go.

Z aresztu odwieziono mnie do więzienia karnego w Strzelcach Opolskich i wsadzono na oddział izolacyjny, jako buntownika i wroga Polski Ludowej. Nie dopuszczano do mnie paczek żywnościowych i nie zezwolono na wypisywanie żywności. Przeżywałem drugą fazę głodu i chłodu. Ogromnie obawiałem się, aby mnie nie wysłano do specjalnego aresztu izolacyjnego, też w Strzelcach, gdzie więźniów wykańczano, stosując okrutne tortury: wieszano za nogi, bito, oblewano zimną wodą i trzymano w karcerach. Tę izolatkę przeszedł mjr Rożek, o którym już wspominałem. Wyszedł w 1956 r. na wolność, lecz jako kompletny wariat. Na szczęście mnie to ominęło, bo na jesieni 1955 r., z dużym transportem, wysłano mnie z innymi buntownikami do więzienia karnego w Sztumie.

W Sztumie znajdowało się więzienie karne zlokalizowane w czteropiętrowym gmachu, wybudowanym w kształcie krzyża. Cele były podobne do innych, z metalowymi drzwiami i z judaszem. Zostaliśmy przyjęci przez władze więzienne w sposób taktowny, traktowano nas jak ludzi, a nie jak wystraszone i zmalretowane zwierzęta, które dodatkowo trzeba straszyć i znęcać się nad nimi. Obsługa więzienna okazała się sprawiedliwa, ale wymagająca. Przebywał tu różny element - polityczny i przestępczy. Więźniowie polityczni byli spokojni i zrównoważeni, natomiast kryminaliści byli to awanturnicy i niebezpieczni ludzie.

Dostałem się do słonecznej, czteroosobowej celi. Towarzysze niedoli okazali się spokojni i przyjemni, kapusiów nie spotkałem. Nie było żadnej prowokacji i żadnych śledztw ze strony władz więziennych. Muszę podkreślić, że na przestrzeni dziesięciu lat miałem poprzednio stale śledztwa i dochodzenia, które przeprowadzało UB i kierownicy polityczni, mimo że byłem dawno po wyroku. Zawsze chciano mnie zmusić do współpracy i wydania ludzi z konspiracji, którzy jeszcze byli na wolności, obiecując objęcie wysokich stanowisk w różnych urzędach na wolności. Nic od nich nie chciałem, pragnąłem jedynie spokoju.

Tu, w Sztumie spacer odbywał się regularnie każdego dnia, można było chodzić dwójkami i rozmawiać. Nie kazano biegać i nie stosowano prawie żadnych kar. W celach można było mieć szachy i warcaby oraz książki i gazety, co dla więźnia było niezwykle ważne. Wyżywienie, jak na warunki więzienne, było zupełnie dobre.

Można było poza tym "wypisywać" chleb, cebulę, tłuszcz i końską kiełbasę. Jednym słowem, w porównaniu z poprzednimi warunkami, prawie Kanada. Nadchodziły paczki żywnościowe i nie konfiskowano zawartości. Okazuje się, że wiele zależy od nastawienia i postępowania ludzi, którym powierza się los więźniów. Można być człowiekiem dla innych, jeżeli się tego chce.

Na wolności

I znów nadeszły kolejne Święta Bożego Narodzenia, spędzone w więzieniu. Ale w porównaniu z poprzednimi, były dość przyjemne. Nie cierpieliśmy głodu, mieliśmy dużo jedzenia i to dobrego. Nauczyłem chłopców: "Hej kolęda we Wronkach" i "Karpacką brygadę", które śpiewaliśmy na głosy. Nawet oddziałowy był zachwycony tymi melodiami.

Któregoś dnia przyszedł do celi przodownik i powiedział, że podoba mu się moje zachowanie i zapytał, czy nie chciałbym pracować w bibliotece. Odpowiedziałem, że chętnie podejmę się tej pracy i będę mu bardzo wdzięczny za ten rodzaj zatrudnienia. Dostałem się zatem do biblioteki. Byłem bardzo szczęśliwy, mogłem wieczorami czytać do woli, bo sam poprosiłem o pojedynczą celę. Pracy miałem dużo, na początku musiałem założyć katalogi. Później dostałem polecenie od oficera polityczno - wychowawczego wycofania niektórych książek ze stanu biblioteki. Miały one zostać zniszczone. Wśród nich, w myśl tego polecenia, znalazły się: "Słownik poprawnej polszczyzny" Szobera, "Trylogia" Sienkiewicza, "Przedwiośnie" Żeromskiego, "Pożoga" i "Krzyżowcy" Kossak-Szczuckiej i wiele innych wartościowych dzieł. Zapytałem oficera polityczno - wychowawczego, dlaczego niszczą te książki, na co otrzymałem odpowiedź, że robi to na polecenie wyższych władz więziennictwa. Moim zdaniem było to karygodne i skandaliczne.

Jakież było moje zdziwienie, gdy w pewną niedzielę przyjechał ksiądz, aby odprawić Mszę Świętą. Szybko przygotowaliśmy prowizoryczny ołtarz w bibliotece, zapaliliśmy dwie świece i postawiliśmy krzyż. Ja sam służyłem do Mszy Św. Sala była pełna więźniów. W wielkim skupieniu i idealnej ciszy uczestniczyli w nabożeństwie.

Podczas podniesienia, na głos dzwonka, wszystkie głowy schyliły się ku ziemi, a ja błagałem Pana Boga w tej podniosłej uroczystości o wolność dla mnie i wszystkich więźniów obecnych na tej mszy. Minęło dziesięć lat od mojej poprzedniej obecności na mszy.

Tak mijał czas, można powiedzieć, w sztumskim zacisku więziennym. Gazety rozpisywały się, że w związku z nowymi wydarzeniami politycznymi zostanie ogłoszona amnestia dla więźniów. Oczekiwaliśmy na nią w największym napięciu nerwów. Wreszcie, jak grom z jasnego nieba, obiegła całe więzienie wiadomość o wydaniu aktu amnestyjnego przez rząd PRL. Zjechała komisja z prokuratury w Gdańsku i rozpoczęła pracę nad zwalnianiem więźniów. Nie mogłem się doczekać, kiedy mnie zawołają. W nocy nie mogłem spać, nerwy miałem rozharatane w oczekiwaniu na zwolnienie. W końcu zawołano i mnie. Prokurator wręczył mi zwolnienie z więzienia, jednocześnie przeprosił mnie za krzywdy, jakie mi wyrządzono na przestrzeni jedenastu lat. Pomyślałem tylko: niech Wam wszystkim Pan Bóg przebaczy, bo mnie samemu jest trudno. Nigdy nie zapomnę doznanych udręk i cierpień.

Opuściłem więzienie w Sztumie dnia 15 IV 1956 r. Kiedy furta więzienna zamknęła się za mną, odwróciłem się, spojrzałem na te czerwone, ponure mury, żegnając je wielkim krzyżem, aby tam już nigdy nie wrócić.

W Warszawie przebywałem krótko, zaraz wyjechałem do Lublina, aby odwiedzić siostrę - Dankę Sosnowską, a potem wyjechałem do Marianówki, na tereny zachodnie, gdzie po przesiedleniu przebywała moja rodzina - ojciec, brat Stanisław i siostry z rodzinami - Lonia i Amela, które powróciły z zsyłki z Syberii, a także siostra Elżbieta, która powróciła z wywózki do Niemiec. Pragnąłem przynajmniej trochę odpocząć po swoich przeżyciach. Godzinami siedziałem na leżaku, wpatrywałem się w góry sudeckie, wspominałem beztrudne i swobodne lata. Chciałem zapomnieć o gehennie, którą przeżyłem tylko dlatego, że kocham nad życie swoją Ojczyznę i starałem się być prawdziwym Polakiem. Tylko opiece Boskiej zawdzięczam, że przeżyłem te męki i katusze, których mi nie szczędzono przez 11 lat pozbawienia wolności. Ale jednocześnie, ilu dobrych Polaków i gorących patriotów nie doczekało wyjścia na świat z murów więzienia. Cóż z tego, że później, na cmentarzu powązkowskim, czytałem, że ten i ów był pośmiertnie zrehabilitowany - życia im nikt nie zwróci.

Osobiście, nie chciałem żadnej rehabilitacji - byłem niewinny, a mojej męki słowa nie były w stanie wynagrodzić. Wszystko zostawiam Bogu do policzenia się z tymi, którzy nie widzieli w nas braci walczących o wolność, przecież nie tylko naszą, ale dla wszystkich miłujących Ojczyznę Polaków. Ułożył Chmiel, Mokotów 1947 r. na melodię "Czerwone maki".

Czy widzisz te mury czerwone,
To grozy i kaźni jest dom
Dziś cierpieć nam jest w nim sądzone,
Lecz jutro weń zemsty uderzy grom.

Tu siedzi dziś polska idea
I armii podziemnej kwiat
Co pracą swą na polskiej ziemi
Piękniejszym uczynić pragną świat.

Czerwone mury krwawego Mokotowa
Kryją tajemnicę krat.
Wymuszone tu zeznań słowa
I męczeństwo przebytych lat.

Przejdą lata i przeminą słowa
Tej piosenki więziennych lat
I tylko na murach czerwonego Mokotowa
Pozostanie skrzeplej krwi ślad.

W czasie mojego aresztowania posługiwałem się nazwiskiem Ostrowski Mieczysław, również pod tym nazwiskiem byłem sądzony i odbywałem karę za winy nie popełnione. Po 11 latach zostałem zwolniony z więzienia i powróciłem do swego prawdziwego nazwiska - GRYGORCEWICZ Mieczysław. Moje wspomnienia z lat okupacyjnych pisałem w 1974 r.

Opracował Dariusz Grabowski

Źródło: "Więści Zambrowskie", styczeń 2000-wrzesień 2001.

[http://nsz.com.pl/index.php/wspomnienia/188-wspomnienia-mieczysawa-grygorcewicza-qbohdanqedakcji "Więści Zambrowskich"](http://nsz.com.pl/index.php/wspomnienia/188-wspomnienia-mieczysawa-grygorcewicza-qbohdanqedakcji-Więści-Zambrowskich).

STRONA NARODOWYCH SIŁ ZBROJNYCH